Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł – 8 stron | Warszawa, 4 października 1953 r. | Nr 40 (184) Rok IV

Purpura Watykanu

W listopadzie 1933 r. rozegrała się w Watykanie scena przypominająca swym napięciem dramatycznym słynne spotkanie Mickiewicza z papieżem. Do Rzymu przybyła wycieczka Polaków z Niemiec, na której czele stał skromny proboszcz z Zakrzowa, ks. Domański. W swej naiwności sądził on, że papież powita wycieczkę w języku polskim, co dla walczących o swą narodowość, prześladowanych od lat przez władze pruskie znaczyłoby wiele. Z taką też prośbą udał się ks. Domański do ówczesnego sekretarza Stanu. Ale ks kardynał Pacelli stanowczo odmówił Wtedy proboszcz zakrzowski padł na kolana i płacząc błagał dostojnika Kościoła, aby odmienił swą decyzję Przytoczył słowa św. Pawła z listu do Koryntian: „Czyż podobna, aby kto z was cierpiał, a ja nie miałbym tego odczuć?" Ks. Pacelli pozostał niewzruszony, watykańska racja stanu okazała się wyższa ponad wszelkie uczucia ludzkie. Papież przemówił do wycieczki po niemiecku, bliższy bowiem był Watykanowi tępiący katolicyzm Hitler niż prawdziwi wyznawcy.

Watykan zawsze był konsekwentny w swej polityce Tylko Polacy mieli krótką pamięć i przechodzili z lekkim sercem do porządku nad tym, co było wczoraj. A przecież historia ostatnich lat naszego narodu wyraźnie wykazała, że polska racja stanu a interesy Watykanu są sprzecznościami nie do pogodzenia.

Fakty mówią za siebie Ks kardynał Kakowski wsparł swoim autorytetem okupanta niemieckiego, wchodząc w skład Rady Regencyjnej, a ustąpił z niej przekazując władzę innemu kolaborantowi — Piłsudskiemu. Ks. kardynał Hlond, ogarnięty paniką sfer rządzących znalazł się szybko na „szosie zaleszczyckiej", za co potem musiał wysłuchiwać gorzkie wyrzuty z ust papieża Pius XII nie miał za złe prymasowi, że opuścił w tak ciężkiej chwili dla narodu wiernych, ale że pokrzyżował plany Watykanu. Autorytet prymasa, który mógłby stanąć na czele rządu Generalnej Guberni zażegnałby wszelkie tarcia. Watykan przystąpił do działania. Jednym z pierwszych posunięć było uregulowanie granic diecezjalnych i mianowanie na ziemiach polskich niemieckich biskupów. Tym samym papież złamał konkordat, zawarty w 1925 r. z rządem polskim, co wywołało nawet pewne oburzenie w kraju i na emigracji, lecz „rząd" londyński i jego agentury krajowe w gruncie rzeczy zniosły upokorzenie z podziwu godnym spokojem. Papież błogosławił podbojom i nic nie chciał słyszeć o księżach polskich katowanych przez gestapo i osadzanych w obozach koncentracyjnych. Nie wszyscy zresztą księża polscy zasługiwali z himmlerowskiego punktu widzenia na taki los i potępienie. Ks. biskup Kaczmarek był inny. Nawoływał do posłuszeństwa i pracy dla okupanta i z błogosławieństwem biskupim wyjeżdżali kieleccy chłopi na przymusowe roboty do fabryk amunicyjnych Hitlera. Również i ksiądz biskup Lorek z Sandomierza był inny niż podwładni mu księża. Bowiem odchodzące na front wschodni dywizje Mussoliniego żegnał płomiennym przemówieniem w nieskazitelnie brzmiącym języku włoskim. I czynił znak krzyża nad głowami morderców.

Przyszedł rok 1944 i lata następne. Ziemie Zachodnie, które powróciły do Polski, z których wierni ongiś jeździli do Rzymu i prosili papieża, aby przemówił do nich po polsku, zostały bez biskupów. Ustanowić hierachię kościelną na tych ziemiach znaczyło dla Watykanu przekreślić swą dawną politykę i przyznać prawo do istnienia ludowi polskiemu. Ale do tego nie doszło. Papież przesyła swoje błogosławieństwo katom Polski, zaś rządy w Niemczech zachodnich przejęli z rąk Amerykanów i w ścisłym z nimi współdziałaniu dawni działacze „Centrum": Adenauer, Kaiser, Lukaschek. Rozpętali oni nagonkę antypolską i podjudzając nieustannie do odwetu wzmogli nastroje szowinistyczne. Ich poczynaniom znowu błogosławi papież, i czyni wszystko, aby neohitlerowskie Niemcy stały się potęgą militarną. Bo tego wymaga watykańska racja stanu, a jednym z jej rzeczników jest dziś arcybiskup Nowego Jorku, ks. kardynał Francis Spellman

Tym złym tradycjom Kakowskich i Hlondów pozostał wierny ks arcybiskup Wyszyński. Swym zachowaniem popierał politykę odwetowców, stając się tym samym sojusznikiem adenauerów. Purpura Watykanu przesłoniła mu Polskę.

Lesław Bartelski

LEON KRUCZKOWSKI

JULIUSZ I ETHEL

OD AUTORA

Zamierzeniem moim w tej sztuce nie było przedstawienie sprawy Rosenbergów jako łańcucha faktów, które zaczęły się latem 1950, a zakończyły (jeśli można tę „sprawę" uważać za skończoną) w dniu 19 czerwca 1953. Podjąłem próbę skupienia politycznych i ludzkich treści tego wstrząsającego dramatu — niejako w soczewce, w zagęszczeniu kilku ostatnich godzin życia Juliusza i Ethel. To założenie wyjątkowo ciasno ograniczające normalną swobodę ruchów dramaturga, wymagało pewnych, nieznacznych zresztą i nieistotnych odchyleń od faktycznego przebiegu tych godzin. Ścisłość faktograficzną musiałem w tym wypadku poświęcić dla wymogów konstrukcyjnych utworu, sama istota rzeczy — oczywiście — nie została przez to naruszona.

Publikowane tu trzy odsłony stanowią połowę sztuki.

Odsłona pierwsza

Więzienie Sing-Sing, oddział dla skazanych na śmierć. Wnętrze celi. Drzwi w ścianie tylnej. Łóżko (prycza) przy ścianie lewej. Stolik z książkami i papierami na środku, pod lampą, stołek. W „czwartej" ścianie, czyli w płaszczyźnie kurtyny, otwór okienny, zaznaczony zwisającą w górze kratą.

ETHEL: *(skulona w kącie łóżka, jak człowiek zziębnięty, zdaje się drzemać)*

(Po chwili, szczęk klucza w zamku, drzwi otwierają się szeroko, stoją w nich DOZORCZYNI, w milczeniu obserwuje ETHEL, która powoli otwiera oczy. Za Dozorczynią ukazuje się w korytarzu MONTER, niosący oburącz mały stolik z aparatem telefonicznym, którego cienki kabelek wlecze się po podłodze; nie spojrzawszy na Ethel ustawia stolik pod ścianą obok drzwi, przytwierdza kabelek w kącie na progu, znika w korytarzu, po chwili wraca, podnosi słuchawkę)

MONTER *(półgłosem)* Hello, Garwey?... Tak, to ja... Słychać dobrze, ale masz jakiś paskudny głos.. *(słucha, po chwili)* O key, w porządku, o ile w tym wypadku może być coś w porządku...

DOZORCZYNI: Sprawdzone? Jak sprawdzone, to pan się zabieraj.

MONTER: *(odkłada słuchawkę i nie spojrzawszy na nikogo szybko wychodzi)*

ETHEL: *(zsunęła się z łóżka, stojąc przy nim patrzy pytająco na telefon)* Co to jest? Po co?

DOZORCZYNI: Nie wiem. Przyjdzie zaraz pan prokurator, to objaśni *(uśmiech)* Czy pani dobrze spała tej nocy, mrs. Ethel?

ETHEL: Po cóż to pani wiedzieć?

DOZORCZYNI: Dziennikarze wypytują mnie o takie rzeczy... *(poufnie)* Dziś od rana roi się od nich w administracji i bardzo są podnieceni...

ETHEL: *(machinalnie)* Dziś od rana?

DOZORCZYNI: Przed dwunastą, kiedy szłam objąć służbę... *(słysząc kroki w korytarzu)* O, już idzie pan prokurator *(wycofuje się)*

PROKURATOR: *(wchodzi do celi, krótkie spojrzenie na telefon, potem na Ethel, nieco dłuższe, zamyka drzwi)* Proszę darować, że... niestety... nie powiem pani „dzień dobry"...

ETHEL: *(z rękami do tyłu, jakby szukając oparcia)* Chce pan powiedzieć, że przynosi mi pan złą wiadomość?

PROKURATOR: Nie inaczej. Sąd Najwyższy utrzymał swoje poprzednie decyzje, a pan prezydent odrzucił prośbę pani i jej małżonka o ułaskawienie. Stało się to pół godziny temu *(wyjmując papier)* Oto treść depeszy z Białego Domu...

ETHEL: Nie, niech pan się nie trudzi...

PROKURATOR: Jak pani chce *(z uśmiechem)* Mąż pani wolał wysłuchać, odniosłem nawet wrażenie, że chciał mnie prosić o powtórne przeczytanie... *(chowa papier)* Tak. Wobec tego dalszym moim obowiązkiem jest — zakomunikować pani, że wyrok wykonany będzie dzisiaj o godzinie ósmej wieczór...

ETHEL: *(nieruchoma, przymyka tylko oczy)*

PROKURATOR: Wynika z tego, tym razem już nieodwołalnie, że — licząc od tej chwili — najbliższe sześć godzin to dla pani, niestety, ostatnie godziny w tym życiu...

ETHEL: *(z zamkniętymi oczyma)* Panie prokuratorze, ja i mój mąż od przeszło dwóch lat umieramy codziennie...

PROKURATOR: To się tak mówi, mrs Ethel, i może nawet to jest prawda, a jednak, kiedy przychodzi ta chwila.. Na krześle elektrycznym siada się tylko raz w życiu.

ETHEL: *(otwierając oczy)* Czy... będę mogła przedtem pożegnać się z moim mężem?

PROKURATOR: Oczywiście *(z naciskiem)* Chcemy nawet dać państwu na to więcej czasu i swobodniejsze warunki, niż w tych wypadkach przewiduje nasze prawo..

ETHEL: Będziemy panu za to bardzo wdzięczni.

PROKURATOR. Mam nadzieję, że nawet bardziej niż pani w tej chwili przypuszcza. Nie będę taił, że przywiązujemy pewną wagę do tej ostatniej rozmowy pani — sam na sam — z jej mężem...

ETHEL: Myślę, że ta rozmowa nie może mieć znaczenia dla nikogo prócz nas dwojga. I chyba najmniej dla pana, panie prokuratorze...

PROKURATOR. Tak by się wydawało. A jednak... może być inaczej! Nie chodzi zresztą o mnie, mrs. Ethel. Wielu ludzi na najwyższych stanowiskach w naszym państwie przywiązuje dużą wagę do

Rysunek amerykańskiego grafika, ukrywającego swoje nazwisko

rozmowy, jaka za chwilę rozpocznie się w tej celi.

ETHEL: *(z nagłą czujnością)* Nie wiem, co pan chce przez to powiedzieć?

PROKURATOR: Bardzo dużo! *(podchodzi do telefonu, opiera na nim rękę)* Proszę, niech pani spojrzy na ten aparat.

ETHEL: *(patrzy długo w milczeniu)*

PROKURATOR: To nie jest zwykły telefon. Proszę traktować go jak żywą istotę. Powiem więcej: jak przyjaciela. O, wystarczy tylko podnieść tę słuchawkę i powiedzieć do niej kilka krótkich słów, ażeby...

ETHEL: Nie rozumiem. Kto ma podnieść tę słuchawkę?

PROKURATOR: Pani lub pani mąż, wszystko jedno. Powtarzam, wystarczy do tej słuchawki powiedzieć kilka prostych słów, ażeby w odpowiedzi usłyszeć w niej — głos uratowanego życia! Ściśle mówiąc, będzie to mój głos, bo właśnie mnie upoważniono...

ETHEL: *(wstrząśnięta)* Aa!

PROKURATOR: Widzę, że pani mnie zrozumiała To bardzo dobrze — i to przecież takie proste! *(bliżej w stronę Ethel)* Ten aparat pozostanie tutaj do godziny ósmej wieczór, to znaczy aż do chwili, kiedy w drzwiach tej celi stanąć ma — śmierć. Tak, mrs. Ethel, śmierć w postaci dozorców, którzy wyprowadzą stąd panią i jej męża wprost na krzesło elektryczne.

ETHEL: *(szeptem)* Rozumiem... rozumiem...

PROKURATOR: *(zupełnie blisko Ethel)* Proszę słuchać uważnie. Ten aparat połączony jest z gabinetem, jaki zajałem dzisiaj w administracji więzienia, a ten gabinet — bezpośrednio z Departamentem Sprawiedliwości Chcę panią zapewnić słowem dżentelmena, że przez najbliższych sześć godzin nie opuszczę mojego gabinetu. Jak pani widzi, my, urzędnicy Temidy, możemy bywać niekiedy więźniami naszych więźniów... z nich zaklina mnie żebym — chociaż czuję się niewinną — przyznała się do zarzucanych mi czynów jeśli to tylko może uratować moje życie...

PROKURATOR: Zupełnie słusznie. Tylko to może panią uratować przed fotelem elektrycznym. To samo dotyczy pani męża.

ETHEL: *(na wpół do siebie, jakby nie słysząc słów prokuratora)* Przebaczam jej, mojej matce, bo wiem, że te zaklęcia dyktowała jej rozpacz i miłość, obie ślepe... Ale czy pan naprawdę sądzi, że... *(wskazując telefon)* ten przedmiot może mieć na mnie wpływ silniejszy niż zaklęcia mojej matki?

PROKURATOR: Może na panią, a może na pani męża — i on z kolei na panią? Niesłusznie zresztą lekceważy pani ten skromny przyrząd. Martwe przedmioty miewają czasem wpływ na nasze życie znacznie większy niż możemy się spodziewać. Na przykład większość przestępców to ofiary martwych przedmiotów, które pragnęli sobie przywłaszczyć... No, ale nie filozofujmy, bo szkoda każdej minuty z tych kilkuset, które jeszcze pozostają... Mąż pani przyjdzie tu za chwilę.

ETHEL: *(w radosnym oszołomieniu)* Przyjdzie... tutaj...

PROKURATOR: Będziecie państwo mieli dużo... przepraszam, stosunkowo dużo czasu, żeby się wspólnie zastanowić, głęboko jeszcze raz wszystko przemyśleć, rozważyć...

ETHEL: *(z dłońmi przy skroniach, odwraca się, odchodzi, siada na krawędzi łóżka)*

PROKURATOR: Młodzi, kochający się ludzie, w dodatku rodzice dwóch miłych chłopczyków, tak łatwo nie decydują się umierać... Nie byłem nigdy w podobnej sytuacji, ale wydaje mi się, że człowiek, który liczy już swoje życie tylko na minuty, patrzy na wiele rzeczy zupełnie inaczej niż wówczas, kiedy ma nadzieję spędzić następny urlop w Kalifornii... Nawet najwznioślejsze zasady mogą się wtedy okazać mniej ponętne niż zwyczajna łyżka zupy... Tak, mrs Ethel, i teraz, kiedy *(wskazując telefon)* oprócz tej jednej nie ma już żadnej, absolutnie żadnej szansy... Oczywiście, wolelibyśmy, żeby u naszych przestępców dochodził do głosu nakaz wewnętrzny obywatelskiego sumienia, ale jeśli do niego nie można się odwoływać...

ETHEL: Proszę, niech pan mnie nie dręczy.

PROKURATOR: *(z wybuchem brutalności)* Ależ, do diabła, czy pani nie rozumie, że robię to dla pani dobra.. dla dobra pani dzieci? Jutro będzie mi pani za to wdzięczna!

ETHEL: Będę panu wdzięczna w tej chwili, jeżeli pan mnie zostawi w spokoju.

PROKURATOR: *(opanowuje się, wraca do tonu perswazji)* Spełniam tylko mój obowiązek, nie tylko urzędowy ale i ludzki. Być może, pani nie uważa nas, urzędników sprawiedliwości, za istoty zdolne do kierowania się ludzkimi uczuciami. Zgodzi się pani jednak, że jesteśmy w każdym razie dobrymi, doświadczonymi psychologami. Wiemy, że w większości wypadków człowiek, który ma umrzeć za sześć, za trzy, za dwie godziny, zdolny jest sprzedać własną matkę, jeśli to może ocalić mu życie. A przecież od was, mrs. Ethel, żądamy o wiele mniej. Chcemy jedynie, żebyście przez uczciwe przyznanie się do zarzucanych wam czynów pomogli nam w walce z wrogami naszego kraju Z wrogiem wewnętrznym i z wrogiem zewnętrznym.

ETHEL: *(wstając gwałtownie)* Wrogiem naszego kraju jest pan i ci, którym pan służy! *(wskazując telefon)* Proszę, niech pan to każe stąd zabrać!

PROKURATOR: *(hamując wściekłość)* Nie, mrs. Ethel. Choć pani mi ubliża, nie mogę pani i jej męża pozbawiać ostatniej szansy zachowania życia. Zwłaszcza gdy może to być z pożytkiem dla naszego państwa... Tak, człowiekowi tonącemu rzuca się koło ratunkowe *(wskazując telefon)* Właśnie to zrobiłem. Reszta należy do dwojga ludzi, którzy dzisiaj wieczorem mają pójść — na dno! *(lekki ukłon)* Teraz odchodzę. Proszę pamiętać, że od tej chwili przez sześć godzin... *(spojrzenie na zegarek)* nie, już tylko przez pięć godzin i pięćdziesiąt minut — nie opuszczę mojego gabinetu Jesteśmy przez ten czas w stałym i bezpośrednim kontakcie *(otwiera drzwi, stojąc w nich dorzuca)* I jeszcze jedno proszę pamiętać: ręka, która podniesie słuchawkę tego aparatu, będzie błogosławiona przez dwóch małych chłopców: przez pani synów! *(wychodzi)*

ETHEL: *(nieruchoma, patrzy na drzwi, które pozostały uchylone, po chwili, słysząc w korytarzu znajome kroki, odruchowo podchodzi ku drzwiom, czeka z napięciem)*

JULIUSZ: *(wchodzi, drzwi zatrzaskują się za nim; przez chwilę oboje patrzą na siebie, w twarzach wyraz oszołomienia i niepewności, szybko jednak zaczyna je rozjaśniać nieśmiały z początku, potem coraz pełniejszy egzaltacji uśmiech, ręce wyciągają się ku sobie).* Ethel! *(szybko podchodzi do niej, długi milczący uścisk)*

ETHEL: *(wpatrując się w twarz Juliusza, mówi gwałtownie, namiętnie)* Wiesz chyba, darowano nam dużo, dużo czasu! A my musimy jeszcze pomnożyć te godziny... tak! tak! wyżyć każdą minutę, tę całą resztę naszego życia! Tak cię kocham!

JULIUSZ *(z uniesieniem)* Jesteś teraz taka, jaka byłaś w dniu naszego ślubu! Jesteś jak wtedy piękna i pełna odwagi!

ETHEL: Jestem oszołomiona szczęściem, które nas spotkało! Kiedy mi powiedziano, że przyjdziesz do mnie, poczułam się jak dziewczyna w oczekiwaniu kochanka! Drogi mój! Teraz już tylko nie myśleć o niczym innym... o tamtym wszystkim... *(urywa, milkną oboje, długo patrzą sobie w oczy)*

JULIUSZ *(po chwili)* Tak, Ethel, tamto wszystko skończone. Nasza tortura nadziei — skończona. Biały Dom odrzucił prośbę o ułaskawienie...

ETHEL: Wiem, wiem...

JULIUSZ: To prawie ulga... prawie ulga! *(z bolesnym zdumieniem)* Oto do czego nas doprowadzili po tych okropnych dwóch latach!

ETHEL: *(z egzaltacją)* Jest prawie tak, jakbyśmy byli już po tamtej stronie... Jak to dobrze, czuć jeszcze teraz ciepło twoich rąk, słyszeć twój oddech... mieć cię u siebie!

(Dokończenie na str. 4 i 5)

BOGUSŁAW KOGUT

Elegia na tysiąclecie Poznania

1

Można policzyć te wieki: Mosiężnych lichtarzy blask
i złote kółka u pasa i złotem bite kontusze.
Poeta chłopski spod Żnina dla muzy szukając łask
u klamek złotych kołatał i w pacht zastawiał duszę.

Z woli dostojnych i możnych, z niewoli małych, przykutych —
wspinał się kamień na kamień i rosła w mury Poznania;
w niej kryształowe pałace — i obok czarne zaułki,
gdzie słońce okien nie sięga i nędza życie pochłania.

I ciekły lata i wieki — jak łzy po twarzy biedaka,
garbem do karku przyrosło haniebne znamię wyzysku.
Gdy z woli możnych deptała serca żelazna hakata,
trwał tylko jeden bohater — z zaułków lud bez nazwiska.

2

Pamiętny rok ten, dziewięćset czterdziesty piąty — zima:
Żołnierze z gwiazdą czerwoną szli szturmem pośród zawiei.
Szła z nimi miłość i prawda — prosta jak słowo Stalina,
spływała krew po brukach — i to był siew nadziei.

Upadał żołnierz, lecz za nim szli czarni ludzie z przedmieść;
przez ogień nieśli swą zemstę w odważnych, niezbrojnych pięściach.
I oczy ludzkie płonęły jak łuna świecąca przede dniem,
swoboda wschodziła nad miastem — i to był siew zwycięstwa.

3

Można policzyć te lata — osiem lat znojnych i trudnych:
Dźwigały ręce świadome nową budowlę od podstaw,
spalone place architekt w planach na nowo zaludnił —
i wschodzi na gruzach wieków najmłodsza ludzka wiosna.

Wyszli z czarnych zaułków wczorajsi proletariusze,
by się w dzielnicy nowej światłem jak chlebem podzielić,
zaklęsłych ruder smętek jasnymi oknami uszedł,
człowiek powrócił do światła — i to jest plon nadziei.

W mym mieście tysiącletnim — w mym mieście ośmioletnim
biegną w bezchmurną przyszłość mostów stalowe przęsła —
i drogi po nich szerokiej zła ręka wroga nie przetnie,
bo wszystko w rękach ludu — i to jest plon zwycięstwa.

Wiersze poetów niemieckich

ERICH WEINERT

tłum. **STANISŁAW WYGODZKI**

Do armii Europy

Poilu, Tommy, legioniści,
óż macie dziedziczyć, żołnierze?
Czy po to, by znowu się ziścił
sen, który śnią kapitaliści,
macie krwawić i ginąć, żołnierze?

Gdy ruszą na wschód znów kolumny
z muzyczką i piosnką, żołnierze
kto wie, który z was będzie dumny!
Bo droga do grobu bez trumny
jest długa i krwawa, żołnierze.

Gdziekolwiek staniecie — na tyłach
stoją armie czerwone, żołnierze
i jaka droga by wiodła zawiła
tkwicie między frontami i siła
tych armii was zmiecie, żołnierze

Haniebna i nędzna jest wojna,
w którą każą wam runąć, żołnierze!
Komuż służyć ma śmierć wasza znojna?
Czy chcecie, by Wolność upojna
przez wasze szła zwłoki, żołnierze?

Czy chcecie lec trupem straszliwym
wojny ostatniej, żołnierze?
Proletariusze! Z żywymi wśród żywych!
Do naszych szeregów was wzywam,
aż do zwycięstwa, żołnierze!
1928 rok

KARL STITZER

tłum. **WŁODZIMIERZ LEWIK**

Przez granicę wyciągamy ręce

Jeszcze nie zbutwiał but, co pruską nogą
deptał w czas wojny spokój polskich pól —
a już Warszawa spalona pożogą,
od bomb zwalona — zabliźnia swój ból.

Tu, w pierwszej linii ludobójczych frontów,
od Tatr po Bałtyk — kłębowiskiem złym
rósł ponad martwą szarość horyzontu
dym Oświęcimia — krematoriów dym.

Dla uciśnionych — wolność za cierpienia,
a dla nas — wyrok sprawiedliwych wag.
Tak wiele win!... a jednak przebaczenia
w ludowej Polsce widoczny już znak.

Bo sędzią lud — a głoszą jego prawa
że człowiek pracy równy tu i tam.
Dzisiaj już jadem nikt nas nie napawa,
co niecił wojny u sąsiedzkich bram.

I tu i tam te same dudnią młoty,
maszyny wspólny wydzwaniają rytm —
to dzień się budzi promienny i złoty,
dla dwu narodów nowy wchodzi świt.

Zbrojni dla jutra, co przed nami płonie —
przyjaźń i pokój — oto nasza broń —
dziś przez granicę wyciągamy dłonie
uczciwe, bratnie... podajcie nam dłoń!

ARMIN MUELLER

tłum. **WŁODZIMIERZ LEWIK**

Do brata z Krakowa

Kiedyś,
bracie z Krakowa,
kierowaliśmy obaj
ku sobie lufy strzelb.
W Lublinie, Szczecinie
czy też jeszcze gdzie indziej.
Dziś
mówię do ciebie
z Hennigsdorfu,
gdzie, by wykonać plan,
na waszym węglu
produkujemy stal.
Bracie,
i wy macie plan.
Wy swój — my swój.
Ale
jest jeszcze inny plan,
plan, który nie jest
ni mój, ni twój.
To nasz plan,
bracie,
to plan, który kiedyś
przemieni cały świat —
od Korei
po jednej stronie
aż do Islandii
po drugiej
Ten plan
ma wielu braci,
nie tylko mnie
czy ciebie.
Dlatego, bracie,
podaj mi dłoń
i zapomnijmy
o strzelbach.

Ministerstwo Oświaty wyjaśnia

Ministerstwo Oświaty przyznaje, że brak odpowiedzi na dwa artykuły zamieszczone w „Nowej Kulturze" („Liścik Miecia" z dnia 21. XII. 1952 r. Nr 51/52 — „W jaskini lwa" z dnia 21. VI. 1953 r. Nr 25) mógł być podstawą do wniosków o zaniedbaniu obowiązku udzielenia odpowiedzi na wysunięte w tych artykułach interpelacje i żądania. Aby czytelników i Redakcję zorientować w pracach Ministerstwa Oświaty, związanych z zagadnieniami, podjętymi przez autorów obu tych artykułów, Ministerstwo Oświaty przekazuje następujące wyjaśnienia:

Do użytku szkolnego w roku 1950/51 zostały wprowadzone na okres przejściowy — z powodu braku odpowiedniego podręcznika — materiały pomocnicze do nauczania historii w klasie IV.

Miały one służyć przede wszystkim nauczycielowi, jako pomoc w realizacji pierwszego naszego programu nauczania historii opartego na marksistowskiej nauce o rozwoju społeczeństwa. Wspomniane materiały pomocnicze nie mogły jednak służyć uczniom klasy IV jako podręcznik ze względu na trudny ich język, uogólnienia niedostępne dla umysłu dzieci w tym wieku i obszerność materiału.

Ażeby zapobiec błędnemu stosowaniu tych materiałów, które nie mogły spełniać roli podręcznika dla klasy IV, Ministerstwo wydało w lutym 1952 r. „Wskazówki metodyczne do korzystania z materiałów programowych w nauczaniu historii w klasie IV", opracowane przez H. Schoenbrenner. Wskazówki te zostały przesłane do szkół z poleceniem, by nauczyciele wykorzystali je w toku pracy lekcyjnej. Ponadto znaczna liczba nauczycieli została przeszkolona w latach 1951 — 1953 w zagadnieniach nauczania historii w klasie IV na licznych konferencjach i kursach organizowanych przez ośrodki doskonalenia kadr w ciągu roku szkolnego i w okresie ferii letnich.

Niezależnie od tych prac o charakterze tymczasowym i przejściowym, Ministerstwo przygotowało w tym okresie nowy program nauki historii i nowy podręcznik historii dla klasy IV. Program ukazał się w połowie września a druk podręcznika zostanie zakończony z początkiem października. Podręcznik ten— pierwszy podręcznik historii dla klasy IV oparty na nowym programie (opracowany przez Dłuską i Schoenbrenner) — będzie niewątpliwie krokiem naprzód w porównaniu z materiałami pomocniczymi wydanymi w roku 1950/51.

Czy nowy podręcznik będzie w zupełności odpowiadał wymaganiom podręcznika dla klasy IV, a więc dla uczniów dziesięcio i jedenastoletnich? Będzie on — mimo swych niewątpliwych osiągnięć — wciąż jeszcze trudny i obszerny. Praca nad jego ulepszeniem będzie kontynuowana przy wykorzystaniu doświadczeń nauczycieli i w oparciu o studia nad metodyką nauczania historii i o stale wzrastający dorobek wiedzy historycznej.

Do usunięcia tych trudności, do ulepszenia zarówno tego podręcznika — jak i szeregu innych — wydanych przez PZWS przyczynić się może w znacznym stopniu dyskusja nad nowymi programami i podręcznikami prowadzona nie tylko wśród pedagogów teoretyków i praktyków, ale i na łamach czasopism naukowych i literackich. Taka dyskusja będzie obecnie tym owocniejsza, że Ministerstwo kończy pierwszy etap prac nad przygotowaniem nowych programów dla szkół ogólnokształcących.

Instytut Pedagogiki opracował już pierwsze projekty stałych programów klas I — IV jak również część programów dla klas V—VII. Projekty te były dyskutowane w bieżącym roku na kursach, wakacyjnych dla nauczycieli. Obecnie komisje programowe opracowują ostateczne redakcje tych programów w związku z uwagami nauczycieli-praktyków. Nowe programy będą podstawą do opracowania nowych lepszych podręczników.

Ministerstwo pracuje w oparciu o założenie, że nowe programy i nowe podręczniki winny być wprowadzone do szkół jednocześnie, co ułatwi nauczycielstwu prawidłową i pełną realizację programów. Ponieważ praca nad przygotowaniem i wydrukowaniem nowego podręcznika trwa około 2 lat, przewiduje się wprowadzenie nowych programów i podręczników do klas I — IV dopiero w roku szkolnym 1955/56. Zgodnie z tym założeniem przewiduje się również, że dopiero w roku 1956/57 zostaną wprowadzone nowe programy i podręczniki do klas V—VII i wreszcie w roku 1957/58 — do klas VIII—XI. Wady obecnie obowiązujących programów będą w tym czasie korygowane przez corocznie wydawane instrukcje programowe.

W tych podjętych na dużą skalę pracach programowych Instytut Pedagogiki opiera się na osiągnięciach szerokiego aktywu wybitnych nauczycieli-praktyków, zbiera ich głosy i opinie poprzez recenzje i dyskusje na kursach wakacyjnych i na konferencjach doraźnie organizowanych przez aparat ośrodków Doskonalenia Kadr Oświatowych.

Opracowane już projekty programów dla klas od I — IV zostaną we wrześniu br. przesłane bezpośrednio do 100 szkół, celem zaopiniowania ich przez przodujących nauczycieli, którzy pracują w różnych środowiskach.

W trosce o zapewnienie programom poprawności naukowej Instytut współpracuje z instytucjami naukowymi (jak Instytut Badań Literackich) oraz wybitnymi naukowcami, profesorami wyższych uczelni, których zaprasza do komisji programowych bądź w charakterze stałych członków komisji programowych, bądź konsultantów. Dzięki temu nowe programy będą owocem pracy kolektywnej pedagogów, naukowców i nauczycielstwa.

Nie pominięto i w tej pracy Związku Literatów Polskich. Jeszcze w marcu br. Instytut Pedagogiki zwrócił się do Sekcji Literatury Dziecięcej i Młodzieżowej z prośbą o wzięcie udziału w opracowaniu wykazu lektury dla młodzieży. Na zaproszenie to Związek Literatów Polskich nie odpowiedział. Aby zapewnić sobie stałą współpracę Związku Literatów Polskich Instytut Pedagogiki zwrócił się do ZG ZLP z prośbą o wzięcie udziału w dyskusji nad wytycznymi dla nowych programów, jak również o delegowanie przedstawiciela Związku na posiedzenie komisji programowej języka polskiego (list z dnia 17. III. 1953 r. Nr PP. 770/53), ale i to zaproszenie do współpracy pozostało bez echa. Po opracowaniu zaś projektu programu języka polskiego zgodnie z ustalonym harmonogramem — w czerwcu br. Instytut Pedagogiki przesłał go do zaopiniowania Związkowi Literatów Polskich.

W świetle tych faktów życzenia ob Peipera wyrażone w jego artykule „W jaskini lwa" mogły i mogą być w pełni zrealizowane.

Jak wynika z powyższego, Ministerstwo Oświaty podjęło szereg kroków w celu ulepszenia programów oraz równoczesnego zapewnienia nauczycielstwu możliwości pełnej ich realizacji w oparciu o nowe podręczniki. Należy dodać, że dla jak najlepszego opracowania nowych podręczników podjęto dodatkowo badania nad przydatnością podręczników obecnie obowiązujących.

Ministerstwo Oświaty uważa, że w tej wielkiej pracy. która zapewnić ma podniesienie wyników nauczania i wychowania młodzieży, udział aktywu politycznego i społecznego, nauczycielstwa, pracowników nauki i kultury, pisarzy polskich, masowo reprezentowanych wśród czytelników „Nowej Kultury", jest bardzo pożądany a nawet niezbędny.

Ministerstwo Oświaty rozpatruje uwagi, zawarte w artykułach i głosach w dyskusji, ogłoszonych w „Nowej Kulturze" i zapewnia czytelników i Redakcję „Nowej Kultury", że naświetli je szczegółowo w swoich komunikatach i artykułach, przygotowanych przez pracowników Ministerstwa.

* * *

List Ministerstwa Oświaty, który publikujemy, wyjaśnia wiele.

Językiem potocznym treść jego można by ująć w ten sposób: zarówno dotychczasowe programy obowiązujące w szkołach, jak i szkolne podręczniki nie były dobre. Opracowuje się nowe. Ale praca idzie ciężko. Sunie powoli po linii oficjalno - administracyjnej: posiedzenia, komisje, konsultacje...

Ale jest takie podstawowe prawo nowego czasu, w naszym kraju, że nie ma akcji, nie ma spraw, któreby decydowały się wyłącznie w gabinetach o drzwiach obitych tłumiącą głosy grubą skórą. Prawo to dotyczy przede wszystkim szkoły, spraw związanych z nauką, z wychowaniem młodzieży.

Nawet wtedy, kiedy podręczniki i programy sięgać będą optymalnej granicy poprawności — trzeba będzie powiedzieć sobie: to jeszcze nie wszystko! Podręcznik wędruje do rąk nauczycieli. W ich rękach najlepszy podręcznik może pozostać martwym przedmiotem, lub ożyć w umysłach uczniów. Wiek szkolny to wiek poszukiwań nowych ideałów, nowych wrażeń. Czy nauczyciel potrafi skierować te poszukiwania na tory punktowane rozdziałami podręcznika? Właściwe losy podręcznika od niego, od jego metody nauczania, od związku z uczniami — zależą.

List Ministerstwa Oświaty to cenny dokument. Cenny dlatego, że nie zamyka, ale otwiera właściwie dyskusję. Widać z niego, iż czynniki kierujące oświatą zdają sobie sprawę z tego, że dyskusja w ekskluzywnym kręgu instytutów, uczonych teoretyków i organizatorów nauki nie wystarcza. Związek z terenem, z nauczycielami, związek z literatami, (którym sprawa wychowania przyszłych odbiorców swych książek szczególnie powinna leżeć na sercu) może niewątpliwie wnieść wiele uwag, projektów, które przyczynią się do zmazania przynajmniej niektórych znaków zapytania, straszących na początku tego artykułu.

Chcemy, aby artykuł ten stał się pewnego rodzaju — apelem. Niech literaci zainteresują się podręcznikami spoczywającymi w teczkach i tornistrach uczniowskich. O nich, o ich pracy literackiej jest tam przecież mowa! Niech zainteresują się programami szkolnymi. Przecież nauka literatury w szkole — w swych skutkach — może zaważyć na stosunku do literatury młodego pokolenia!

Problemy, o których mowa w liście Ministerstwa Oświaty, to nie oficjałka — ale samo życie. Bo czyż jest bardziej życiowy problem niż wychowanie naszej młodzieży tak, aby rozumiała piękno?

REDAKCJA

Nagłowickie kłopoty

Siedzieliśmy z Niedzielskim w kancelarii szkolnej przy długim, konferencyjnym stole, obficie nakrapianym czarnymi plackami atramentu. W szkle karafki z wodą odbijało się skońce.

— Opowiem panu pewną interesującą historię. Fakt!

Kierownik uśmiechnął się uprzejmie, po czym nachylił w moją stronę.

— Tak... — rzekł wreszcie profesorskim zwyczajem, wyczekująco, jakbym był uczniem, który ma odpowiedzieć na zadane pytanie i otrzymać potem stopień.

— Otóż, proszę pana, zdarzyło się to niedawno. Do jednego z kiosków „Ruchu" w Kielcach podszedł dobrodusznie wyglądający ksiądz pytając nieśmiało o „Nowe Drogi". „Są", odpowiedział inwalida ob. K. „A ile posiadacie egzemplarzy?", ksiądz wyciągnął portfel. „Około dwudziestu", rzekł ze zdziwieniem kioskarz. „Proszę mi sprzedać wszystko", zażądał ksiądz, kładąc stuzłotówkę. „Tylko jeden egzemplarz", ob. K. były więzień obozu koncentracyjnego zorientował się, z kim ma do czynienia.

— Są metody i ... metody — cicho powiedział Niedzielski, obrzucając mnie wzrokiem, w którym wyczytałem „to dla mnie nie nowina i ja coś wiem". Jakoż zaczął po krótkim milczeniu:

— Wyobraźcie sobie, że mamy w Nagłowicach zwolenników systemu Ptolemeusza — zatrzymał się, lustrując mnie zaciekawionym spojrzeniem. Chciał widocznie wybadać, jakie wrażenie te słowa na mnie uczyniły. — Po odczycie o Koperniku, który zorganizowało TWP rozwinęła się dyskusja. Wstał jeden z chłopów: „ja tam nie wierzę w żadnego Kopernika", powiedział, „gdyż w kalendarzu stoi wyraźnie, że słońce wschodzi o 5.30 a zachodzi o 20.45, czyli właśnie ono kręci się dokoła ziemi".

Ktoś go nauczył! Widzi pan, jak to jest — rzekł po chwilowej przerwie — wykorzystują każdą okazję. Ot co! — powiedział, spoglądając przed siebie. Leżał przed nami dziennik klasowy, w tekturowej, wysłużonej okładce, ważny i groźny, przyprawiający o drżenie łydek dokument.

— Weźmy teraz exemplum Janka Hencla z IIb — mówił Niedzielski. — Dziecko krnąbrne, nie chciało się uczyć. Kilka razy odwiedzałem Henclową w domu namawiając ją, żeby przyszła na lekcję matematyki. Z początku myślała, że żartuję, zbyła mnie kpinami. Potem widać zasięgnąwszy czyjejś rady odpowiedziała, że jej rodzice nie przychodzili na lekcje, więc i ona ani myśli. Dopiero, kiedy koledzy zaczęli szydzić z chłopaka, że „dwójkarz" a nawet „pałkarz", co bardzo brzydki miało wydźwięk, uległa. Blada ze złości siadła w ostatniej ławce. Wywołałem syna do tablicy a on ani mru-mru. W sali rozległ się chichot. Henclowa zmieniła się na twarzy, poczerwieniała i zaraz wyszła. Trzasnęła nawet drzwiami, aż kałamarz na katedrze podskoczył. Następnego dnia Janek był już przygotowany i wkrótce wylizał się z niedostatecznych. No, a dziś jest już w Technikum Mechanicznym w Kielcach. Młodzież nasza szturmuje szkoły średnie — podsumował plastycznie, ale zaraz przyszło mu na myśl nowe porównanie.

— W okresie przedwojennym do gimnazjów i liceów poszło z Nagłowic tylko trzech chłopców... Trzech — pokazał na palcach. — A dziś siedemdziesiąt pięć procent absolwentów, ładna cyferka, co? — ciągnął, przechodząc teraz do spraw przyjemnych. Twarz mu się rozjaśniła. — Kilku moich wychowanków wybiera się na wyższe studia... Syn Szpala Heniek na UJ. Botanika albo matematyka, jeszcze się namyśla... — przygładził ręką siwe włosy, po czym spojrzał na mnie z dumą — Hania Brodzikówna jest u nas nauczycielką... Śpiewa. Czeka na nią konserwatorium. Młody Sobieraj kształci się w Warszawie na weterynarza, a Ulatowski z Rejowca w Moskwie na medycynie...

— Teren mamy trudny, zaśmiecony — rzekł do mnie sekretarz K. G., Kucharski, kiedy wędrowałem z nim do budynku poczty. — W czasie okupacji znajdował się w Nagłowicach ośrodek NSZ-owski, potem handlu? Rozumiecie, towarzyszu, rezultat? Niektórzy małorolni, między innymi również byli fornale, zaczęli obrastać w spekulanckie sadełko.

Na tym wyrosły trujące grzyby— kombinatorzy z GS, gdzie wykryto poważne manka. Sprawcy staną przed sądem, ale chłopi rozumują: Jaką jest spółdzielnia gminna — taka będzie spółdzielnia produkcyjna. I dlatego czekają...

— Już trzeci dzień nie otrzymuję „Gromady"! — dobiegł nas strzęp głośnej rozmowy. Przed zakratowanym oknem agencji pocztowej stał chłop wysoki i chudy jak tyka, marszcząc brwi, które zrastały mu się nad czołem. Zmartwienie rysowało bruzdy na twarzy. Na ramieniu trzymał kosę niby karabin. Rondo kapelusza rzucało głęboki cień na oczy i policzki. — Zobaczycie, że napiszę do gazety — dodał pod adresem „tego kogoś" schowanego w ciemnym wnętrzu biura.

„Tak, tak, przybyły nowe kłopoty", pomyślałem.

— Zając — mruknął sekretarz — jeszcze kilka miesięcy temu nie chciał słyszeć o gazetach.

*

Na rozstajach drogowskaz wyciągał ramiona w czterech kierunkach: Szczekociny, Włoszczowa, Rakoszyn, Jędrzejów. Skręciliśmy na prawo. Przy szosie stały bielone chaty, wszyte w gęstwinę sadów. Zza opłotków wychylały się złociste tarcze słoneczników.

— Tutaj — rzekł. Zatrzymaliśmy się. Miejsce było urocze. Naprzeciwko szumiał stary park, kryjący w swych zakamarkach aleję wysadzaną dębami. Wysokopienny, mroczny, jak wnętrze gotyckiego kościoła. Przygrywała orkiestra żab, śpiewały słowiki, czasem śmignęła wiewiórka. W pewnym miejscu mur, opasujący park, urywał się. Opowiadano mi, że schowane w krzakach dzikiego bzu dzieci folwarczne i wsiowe podpatrywały stąd przed wojną, jak na korcie tenisowym księstwo odbijali angielskimi rakietami niemieckie piłki.

Z drugiej strony — szkoła. Spoglądała wielkimi oknami na gromadę sosen i zakręt drogi do Szczekocin.

Dzień dogorywał. Na zachodzie nieba wisiało słońce jak czerwony transparent. Lekki wietrzyk przyniósł od pałacowych klombów zapach róż.

— Ładnie tu...

Dopiero teraz zauważyłem Zająca. Zbliżał się wolno, jakby nie chciał nam przeszkadzać, z kosą i połataną płachtą, przewieszoną przez ramię. Poważnie, niemal nabożnie patrzył przed siebie, w tym samym kierunku co sekretarz.

— Pięknie! — Kucharski przytaknął gorąco. — W tym miejscu — wskazał ręką na niewielki placyk przed szkołą — stanął obelisk... ku czci Reja... Mikołaja Reja — powtórzył uroczyście.

Czesław Michniak

KONKURS

NA UTWÓR LITERACKI NA TEMAT TURYSTYKI MOTOROWEJ

1. Konkurs ma na celu uzyskanie utworów dla sprawy popularyzacji turystyki motorowej wśród szerokich rzesz społeczeństwa.

2. Na konkurs mogą być nadsyłane utwory w dowolnej formie literackiej.

3. Prace w zamkniętych kopertach, opatrzonych godłem autora, oraz z załączoną wewnątrz kopertą, zawierającą nazwisko i adres autora, należy nadsyłać na adres: Zarząd Główny Polskiego Związku Motorowego — Główna Komisja Turystyczna, Warszawa, ul. Nowy Świat 35 — do dnia 20 października 1953 r.

4. Za najlepsze prace Komitet dla Spraw Turystyki przyzna następujące nagrody:

I nagroda	— 2.000 zł
II nagroda	— 1.500 zł
dwie III nagrody po	— 1.000 zł

5. Jury powołane przez Komitet dla Spraw Turystyki, Główna Komisja Turystyczno-Motorowa P.Z.Mot., w porozumieniu ze Związkiem Literatów, ogłosi wyniki konkursu do dnia 10 listopada 1953 r.

RYSZARD MATUSZEWSKI

My i dwudziestolecie

Nie ma chyba dużej przesady w stwierdzeniu, że obok epoki Krakusa, Wandy i króla Popiela okres dwudziestolecia międzywojennego należy w tej chwili do najmniej znanych, najbardziej „nieustawionych" okresów w dziejach naszej literatury. Jeśli ktoś powie na to, że przecież żadne zabytki piśmiennictwa z czasów króla Popiela nie są nam znane, a dwudziestolecie, przeciwnie, znamy zanadto dobrze i dlatego właśnie nie chcemy go więcej znać, będzie miał tylko połowę racji. Jest jeszcze wielu ludzi u nas, którzy okresem dwudziestolecia nie zajmują się dlatego, że z niego wyrośli, że jest to okres, w którym w literaturze i sztuce panowały kierunki świadomie dziś przez nich przezwyciężone i odrzucone. Jest — co gorsza — wielu takich, którzy po cichu tęsknie do tego okresu myślą wracają albo dlatego, że niewiele się nauczyli i niewiele zrozumieli, albo że go trochę zapomnieli. I jednym i drugim warto czasem przypomnieć, że książki czytane przed dwudziestu laty można dziś najczęściej śmiało uważać za nie przeczytane w ogóle, że nawet czytanie dziś na nowo własnych tekstów napisanych w tamtej epoce daje często nieodparte wrażenie obcowania z kimś, o kim tylko teoretycznie wiemy, że jest osobą tożsamą z naszym „ja" dzisiejszym; oczywiście przy założeniu, że się do tekstów tych co jakiś czas nie powracało.

Niezależnie jednak od tych dwu kategorii ludzi istnieje u nas jeszcze inna kategoria, coraz liczniejsza, z każdym rokiem bardziej ważąca na stosunku współczesności do owej epoki. Kategoria ludzi, dla których historia literatury dwudziestolecia międzywojennego układa się w sposób całkowicie odmienny. Zabawnie i doprawdy zaskakująco wygląda czasami taka konfrontacja sądów i wyobrażeń tej nowej kategorii czytelników z sądami ludzi pamiętających dwudziestolecie. Głośny artykuł Karsta w „Przeglądzie Kulturalnym" („Literatura na opak") zwrócił nam słusznie uwagę na pewien aspekt stosunku młodego pokolenia do literatury. Chciałbym zwrócić uwagę na aspekt inny: jak wygląda literatura dwudziestolecia w percepcji studiującej dzisiaj młodzieży? Wygląda czasami trochę tak jak historia Polski w kronice Kadłubka. Pewna ilość wiadomości nie sprawdzonych, przyjętych na wiarę lub sprawdzonych jednostronnie z dość nieoczekiwanymi wynikami.

Bardzo inteligentna studentka Sekcji Dziennikarskiej, autorka doskonale napisanej pracy dyplomowej o twórczości jednego z powieściopisarzy współczesnych, stanowiącej znamienny przejaw ewolucji od estetyki dekadenckiej, modnej pod koniec dwudziestolecia, do dojrzałej postawy pisarza realizmu socjalistycznego, zapytana o przykłady formalizmu w literaturze międzywojennej, inspirujące owego pisarza, wymienia... Wierzyńskiego. Tuwima i Słonimskiego uważa za poetów tzw. „Awangardy". Żeby nie było nieporozumień, chciałbym zaznaczyć, że nie chodzi mi tu wcale o gorszący przykład jakiegoś nieuctwa. Studentka nie była tak bardzo winna. Odpowiedź jej wywołała wśród członków Komisji Egzaminacyjnej, złożonej z trzech ludzi, którzy **pamiętali** dwudziestolecie, raczej zdziwione zainteresowanie niż oburzenie. Studentka, nie studiowała specjalnie literatury dwudziestolecia i obowiązana była znać z niej tylko pewne wybrane przykłady utworów o postępowym obliczu, po prostu nie miała skąd się o niej nauczyć. Do ogólnej orientacji w literaturze tego okresu zabrakło jej tych pomocy naukowych, jakie posiadała dla poznania literatury Oświecenia, romantyzmu czy pozytywizmu. Nie ma uniwersyteckiego podręcznika, który by te sprawy wyjaśniał. Pisząc nasze artykuły, rozprawy czy esseje nie zdajemy sobie często sprawy, że dla coraz większej liczby czytelników między wiedzą o literaturze epok, których sami nie pamiętamy, a tą epoką, która już i dla nich stanowi żywą, narastającą współczesność, wytwarza się luka, której nie zapełnią nasze napomykania o niej półsłówkami, tak jak się napomyka w rozmowie o rzeczach wszystkim znanych, nasze porozumiewawcze mrugnięcia, jakieś odsyłacze myślowe dla wtajemniczonych.

Weźmy przykłady. Pewien znakomity poeta i krytyk zużył swego czasu wiele energii na to, by uzasadnić, że toczony w dwudziestoleciu spór o poetykę „Skamandra" i tzw. „Awangardy" był konfliktem jałowym, pozornym. Miał sto procent racji. Poszedł jednak dalej. Obawiając się słusznie, aby terminy „Skamander" i „Awangarda" nie były przenoszone jako jakaś aktualna kategoria w dzisiejszych sporach literackich zaczął twierdzić, że pojęcia te są w ogóle „tabu". Nie ma i nigdy nie było żadnego „Skamandra" ani żadnej „Awangardy". Tego wprawdzie sam znakomity poeta i krytyk już nie powiedział, ale tak starali się to dopowiedzieć inni. W obszernej i ciekawej pracy młodej autorki o twórczości Broniewskiego znalazłem długi wywód na temat „rzekomej grupy Skamandra". Można i należy wykazywać, że pojęcie grupy literackiej w dwudziestoleciu nie oznaczało ani w wypadku „Skamandra", ani w wielu innych, wspólnej platformy ideologicznej, że drogi poszczególnych przedstawicieli tej grupy szybko i krańcowo się rozeszły, a nie można głosić o czymś co istniało, że nie istniało w ogóle. To wywołuje mętlik w głowach ludzi, którzy zechcą poznać ową epokę na podstawie źródeł i stwierdzą po prostu, że to nieprawda.

W pamięci wielu ludzi obraz literatury dwudziestolecia międzywojennego ulega procesowi swoistej mitologizacji. Dwa lata temu pewien pisarz — zabierając głos na naradzie poświęconej problemom naszej współczesnej twórczości sugerował, że okres dwudziestolecia, który ukształtował oblicze artystyczne wielu dzisiejszych artystów, był okresem realizmu krytycznego. Jest to zrozumiałe: pisarz ten patrzył na ów okres przez pryzmat własnej postawy — powojennej. W jego pierwszych powojennych utworach istniały już elementy postawy realizmu krytycznego, aczkolwiek jeszcze przemieszane z tym widzeniem świata, rozbitym i zatomizowanym, jakie narzucała mu przedwojenna antyrealistyczna estetyka. W późniejszej swojej twórczości przezwyciężył owe relikty dawnego spojrzenia i pragnął oceniać własną przeszłość swoimi dzisiejszymi oczyma. Dało to Pawłowi Hoffmanowi okazję do pamiętnego „historycznego sprostowania".

„Twórczość, która kształtowała się w okresie międzywojennym — podkreślił on wówczas*) — zawierała oczywiście pewne, nieraz poważne elementy realizmu krytycznego, kontynuowanego nadal w bardzo trudnych warunkach epoki rozkładu kultury burżuazyjnej w fazie imperializmu, ale twierdzenie, że cała twórczość tego okresu wywodzi się z realizmu krytycznego, byłoby historyczną nieścisłością... Jeżeli... sięgniemy do naszej literatury międzywojennej, znajdziemy tam po pierwsze—olbrzymią rozmaitość różnych schyłkowych, dekadenckich, w gruncie rzeczy antyhumanistycznych postaw. Po drugie — znajdziemy jeszcze dość poważny nurt realizmu krytycznego, choć nieraz bardzo obficie skazony schyłkowymi „izmami". Po trzecie wreszcie — znajdziemy zaczątki realizmu socjalistycznego. Jeżeli w twórczości Kruczkowskiego czy Wasilewskiej mamy krytykę stosunków i ustroju kapitalistycznego w faszystowskiej Polsce, jest to nie tylko taka krytyka, jaką daje realizm krytyczny; w twórczości pisarzy marksistów świadomie ukazana jest rewolucyjna droga wyjścia w odróżnieniu od twórczości największych nawet pisarzy realizmu krytycznego".

W cytowanym tu przemówieniu Pawła Hoffmana, jak również w szeregu innych wypowiedzi na temat literatury dwudziestolecia w czasie dyskusji w Związku Literatów m. in. w wypowiedziach Putramenta, zarysowana została jedynie słuszna i powszechnie już dziś przyjęta przez literaturoznawców zajmujących się dwudziestoleciem koncepcja generalnego ujęcia głównych nurtów literatury tego okresu. Były wśród tych prób ujęcia pewne nieznaczne warianty. Putrament widział w tej epoce raczej cztery nurty, a nie trzy. Rozróżniał wśród przejawów literatury schyłkowej, dekadenckiej szereg zjawisk wyrosłych na tle tzw. „ucieczki od rzeczywistości", której źródłem mogło być w pewnych wypadkach tragiczne nieprzystosowanie artysty do rzeczywistości kapitalistycznej, chęć odcięcia się od niej, oraz — z drugiej strony—zjawiska będące wyraźnym przejawem świadomego ulegania naciskowi ideologii burżuazyjnej.

Nie ma potrzeby uzasadniać, że w praktyce były to zjawiska wyraźnie ze sobą przemieszane, podobnie zresztą jak przemieszane były w utworach większości pisarzy, skłaniających się ku ideologii postępowej, elementy słusznej krytyki społecznej i fałszywej, utopijnej oceny rzeczywistości, realizm i elementy formalizmu czy naturalizmu. Tylko twórczość pisarzy nurtu rewolucyjnego ma w tej epoce stosunkowo wyraźne kontury, stanowi skok ku postawie jakościowo odmiennej od całej reszty literatury okresu, choć przy analizie dzieł poszczególnych autorów natknąć się możemy oczywiście i tutaj i na wypadki „graniczne", trudne do sprecyzowania, świadczące o walce jaka toczyła się w świadomości niejednego z pisarzy.

Zadaniem badaczy zajmujących się zagadnieniem literatury dwudziestolecia musi stać się oczywiście szczegółowa ich analiza, wnikliwa ocena twórczości poszczególnych pisarzy, przy której ogólny podział na zasadnicze nurty ideowo-artystyczne może służyć jedynie za niezbędne, pomocnicze rusztowanie. Nie ma chyba potrzeby uzasadniać, jak szkodliwym byłoby tu jakiekolwiek szkolarskie „szufladkowanie", bezwzględne zaliczanie pisarzy do tej czy innej „kategorii", nieuwzględnianie ich rozwoju twórczego i przemian ideowych, oraz głębokich komplikacji, zachodzących we wzajemnym stosunku ich poglądów politycznych, osobistej postawy ideowej oraz środków wyrazu artystycznego, którymi pod wpływem nacisku obcej ideologii artystycznej często się posługiwali.

Zwłaszcza to ostatnie zagadnienie zdaje się wymagać w toku badań szczególnie pieczołowitego, precyzyjnego ujęcia. Wystarczy wymienić przykładowo takie zjawiska jak poezja Przybosia czy Ważyka, jak ostatni etap twórczości Zegadłowicza. Inne problemy wyłaniają się przy analizie dzieł tego typu pisarzy co Strug, Berent, Boguszewska, Wiktor, Morcinek. Wymieniam te nazwiska trochę na chybił trafił można by bowiem przytoczyć szereg innych. Właściwie przy ocenie twórczości pisarzy dwudziestolecia każde prawie nazwisko to problem. Znikoma jest liczba autorów, których dzieła dałoby się zakwalifikować w sposób jednoznaczny, jako realizm krytyczny. Wśród utworów o obliczu bezwzględnie schyłkowym i dekadenckim istnieje duża różnorodność historycznych motywów ulegania przez nich dekadenckiej estetyce.

Nie ma oczywiście tutaj powodu do rozszczepiania włosa na czoworo, do psychologistycznych prób wgłębiania się w tajniki procesu twórczego. Interesują nas obiektywne fakty: dzieło i jego wymowa ideowo-artystyczna. Nie możemy jednak zapomnieć o tym, że za dziełem tym stoi często nie tylko twórca, ale i swoista atmosfera całego ówczesnego środowiska artystycznego i określony krąg odbiorców z takimi a nie innymi poglądami na ideową i artystyczną funkcję dzieła sztuki, i określone warunki walki klasowej.

Jak dalece sprawy te nie są jasne dziś dla młodego pokolenia, które nie pamięta tamtych czasów, świadczyć może fakt reakcji młodzieży na dzieła o wartości dziś dla nas zupełnie niewątpliwej, np. na takie, stanowiące obowiązkową lekturę studentów utwory postępowego nurtu literatury dwudziestolecia jak „Granica" Nałkowskiej. Pierwsza reakcja studentów, mierzących ową znakomitą powieść kryteriami dzisiejszych postulatów stawianych literaturze jest — jak zdołałem zauważyć — z reguły niechętna. Razi ich klimat całej powieści, „drobiazgowość" analizy spraw i ludzi bardzo im psychicznie obcych, cała jej odległa już dziś problematyka. Wytłumaczone, sprawy te układają się w ich umysłach, ale entuzjazmu nie budzą i trudno się temu dziwić. Młodzież ta nastawiona jest na obrazy walki, na poszukiwanie pozytywnego bohatera, przeszłość interesuje ją również pod tym kątem widzenia.

Nie brak również i innych wręcz odwrotnych przejawów, występujących nie tyle w publicznych dyskusjach, ile w prywatnych rozmowach. Przejawów szczególnego zainteresowania dla tej schyłkowej, „zgniłej" literatury, o której tyle się mówi, tak się ją ciągle publicznie wyklina, a konkretnie mało się o niej wie bo w powodzi reedycji klasyków i pisarzy dwudziestolecia jej się nie znajdzie, bo zapadła gdzieś w biblioteczne czeluści, z których słusznie nikt jej nie wydobywa.

I tu trzeba powiedzieć, że przy jakimkolwiek zetknięciu się z tą literaturą, następuje na ogół u ciekawych gruntowne rozczarowanie. Jak to, więc to są takie bzdury? — zapytują po przejrzeniu poezji futurystów, dramatów Witkacego czy „Ferdydurke" Gombrowicza. Myśleli, że ktoś ukrywa przed nimi bóg wie jakie skarby. Literatura reakcyjna i faszystowska, o ile wpadnie komuś w ręce, budzi zrozumiały niesmak. Myślę oczywiście o młodzieży ideowej, interesującej się zagadnieniami literatury, a nie o amatorach szmiry literackiej, uganiających się za „kryminałami", co stanowi odrębny problem. Myślę o stosunku do literatury obcej nam ideowo, a swego czasu wysoko ocenianej przez burżuazyjną krytykę. Nie ma oczywiście powodu rozpowszechniania dziś tej literatury, ale wystrzegać się moim zdaniem należy sytuacji, w której budziłaby ona niezdrowe podniecenie jako „owoc zakazany". Nie ma powodu unikania pewnych jej przykładów jako ilustracji tego z czym walczymy, bo walka w sferze ogólników jest dla tych, którzy przeszłości nie znają — nieprzekonywająca. Kogo dziś rozentuzjazmują np. „Czarne skrzydła" Kadena? Są one tak wymownym przykładem rozwoju tendencyj faszystowskich obozu sanacyjnego, że należałoby się nimi posługiwać, oczywiście nie w sensie „lektury zalecanej", ale w sensie cytowania, wyjaśniania, w celu dania pełnego historycznego obrazu epoki, walki jaka się w niej toczyła, która inaczej przedstawiać się zaczyna jako coś zupełnie niezrozumiałego.

Nie ma oczywiście potrzeby specjalnego podkreślania, że nie uwypuklanie negatywów, ale przede wszystkim wydobywanie najlepszych, postępowych tradycji literatury dwudziestolecia jest zadaniem współczesnej krytyki i badaczy tego okresu. To, co dotąd zrobiono w tej dziedzinie, jest zaledwie nikłą cząstką wobec tego co należy zrobić. Twórczość znakomitej większości pisarzy tego okresu czeka na gruntowne, szczegółowe opracowanie. Trudno uważać za opracowaną twórczość czołowych pisarzy nurtu rewolucyjnego, choć ukazały się prace Zbigniewa Wasilewskiego o Kruczkowskim („Twórczość") i Wasilewskiej („Życie Literackie"), W. Woroszylskiego i niżej podpisanego o Broniewskim. Dochodzi do nich opracowywane obecnie w dziale literatury dwudziestolecia Instytutu Badań Literackich duże studium o poezji Broniewskiego F. Lichodziejewskiej, które należałoby czym prędzej uprzystępnić współczesnemu czytelnikowi.

Nie opublikowano dotąd jeszcze opracowanego w Instytucie Badań Literackich wyboru poezji najwybitniejszego po Broniewskim przedstawiciela naszej poezji rewolucyjnej w dwudziestoleciu — Edwarda Szymańskiego. Ma to w najbliższym czasie uczynić Sp. Wyd. „Czytelnik". Ogromnie cenną i potrzebną pracą działu literatury dwudziestolecia Instytutu Badań Literackich jest też publikacja materiałów do dziejów postępowej publicystyki tego okresu, z których ukazał się dotąd tom I (monografia „Sygnałów" lwowskich), oczekują zaś na wydanie monografie „Oblicza dnia" oraz „Poprostu" i „Karty".

Równie duże, jeśli nie większe zaległości przedstawia naukowe opracowanie zagadnień związanych z twórczością pisarzy nurtu postępowo-demokratycznego w dwudziestoleciu. Brak dotąd wyczerpujących studiów o twórczości Marii Dąbrowskiej (studium E. Korzeniewskiej w przygotowaniu, jedna praca nie wyczerpuje jednak jak sądzę tego zagadnienia), brak gruntownej marksistowskiej oceny dzieł Boya, Nałkowskiej, Tuwima, Słonimskiego, Gojawiczyńskiej, Haliny Górskiej. Praca A. Wasilewskiego o Boguszewskiej i Kruczkowskim („Twórczość" r. 1950) wymaga już dziś niewątpliwie pewnej rewizji.

Zasługą np. Wyd. „Czytelnik" jest przypomnienie nam ostatnich utworów zamordowanych przez hitlerowców poetów — Zuzanny Ginczanki i Kamila Jerzego Weintrauba. Czeka na opracowanie i wydanie antologia postępowej satyry dwudziestolecia.

Jest z pewnością w literaturze międzywojennej wiele pozycji, których opublikowanie wiąże się ściśle z zagadnieniem ich krytycznego opracowania, historycznego oświetlenia. Należy tu sprawa wyboru utworów prozatorskich Iwaszkiewicza, poezyj Czechowicza, ostatniego historycznego cyklu essejów Berenta. Są zjawiska, do których niezależnie od oczywistej niecelowości ich wznawiania musi ustosunkować się historia literatury, jak twórczość Struga, Kossak-Szczuckiej, której książki wydawane były po wojnie w dużych nakładach, są jeszcze dziś szeroko czytane i domagają się gruntownej, marksistowskiej oceny. Warto tu przypomnieć jak wielką, pożyteczną rolę spełniła swego czasu cenna praca Anieli Łempickiej o powieściach Dołęgi - Mostowicza („Twórczość" 1950). Czeka opracowania trudne zagadnienie oceny prac krytycznych okresu dwudziestolecia, omówienie działalności krytyków takich jak Irzykowski, Zawodziński, Borowy, ocena prasy literackiej tego okresu, np. „Wiadomości Literackich", „Skamandra", „Pionu".

Są wśród tych zagadnień, które czekają na podjęcie, pilniejsze i mniej pilne, ale problem istnieje. Paradoksalną jest sytuacja, w której pewne ułamkowe wiadomości o literaturze dwudziestolecia podjął z dużą zresztą przejrzystością, ale i z koniecznymi w tym wypadku skrótami podręcznik szkolny na klasę XI (E. Korzeniewskiej i A. Wasilewskiego), natomiast gruntowniejsza analiza twórczości tego okresu leży niemal nieruszona. Nawiązywanie do postępowych tradycji dwudziestolecia i walka z jego wrogimi nam, schyłkowymi prądami nie może się odbywać w próżni. **Ryszard Matuszewski**

*) Paweł Hoffman „O niektórych problemach realizmu socjalistycznego" Nowa Kultura nr 46 (86) z r. 1951.

ZBIGNIEW FLORCZAK

O kolorze „Rzeki Czerwonej"

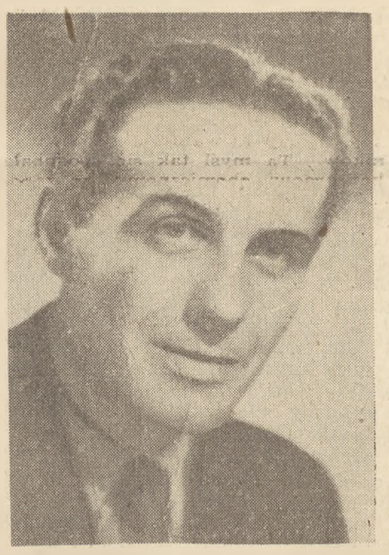

Mirosław Żuławski

Książka Mirosława Żuławskiego*) ma tak określony cel polityczny, że niesposób jej rozpatrywać tylko od strony wrażenia artystycznego. Zresztą analiza polityczna nie jest w tym wypadku łatwa: już sam materiał faktów tak obszernie, panoramicznie zorganizowany, ranga społeczna większości bohaterów pretendujących do znaczenia osobistości autentycznych**), czy chociażby rekonstrukcji tych historycznych postaci — wszystko to budzi zawczasu respekt krytyka.

Tematem „Rzeki Czerwonej" jest jedna z najobrzydliwszych wojen, jakie zapisuje współczesność, wojna vietnamska — „salle guerre", jak mówią Francuzi. Gilbert de Chambrun, francuski deputowany i członek Światowej Rady Pokoju komentuje ją w taki sposób: „9 na 10 Francuzów żąda natychmiastowego zaprzestania działań wojennych — niestety proporcja ta jest odwrotna w samym rządzie: tam 9 na 10 ministrów mówi i postępuje tak, jakby byli zdecydowani na prowadzenie wojny w nieskończoność".

Książka Żuławskiego jako artystyczna manifestacja przeciwko wojnie vietnamskiej nie boi się przechodzić w wielu miejscach po linii publicystyki — a jednak pod koniec stwierdza się z zadowoleniem, że na ogół linii tej nie przekracza, pozostaje w granicach dzieła sztuki. Należy podkreślić tę właśnie cechę książki: jej artystyczną równowagę wobec elementów publicystycznych, które zawiera, którymi kusi temat. Cecha, powiedzmy sobie, nieczęsta w naszym młodzieńczym piśmiennictwie powojennym. Sprecyzujmy w jakim znaczeniu książka ma cechy publicystyki.

Żuławski nie wypowiada ani razu swego poglądu na opisywaną sprawę, nigdzie nie kwalifikuje wypadków czy postaci epitetem, który by zdradził jego sympatie lub antypatie. Styl narracji jest zewnętrznie beznamiętny i klarowny. Ale jeżeli rozległe zagadnienie podjęte w tej książce obchodzi się tak całkowicie bez komentarza odautorskiego, to widocznie autor znalazł inną metodę ukazania tego zagadnienia we właściwym i politycznie wymownym świetle. Metodą tą stała się budowa powieści.

Z wierzchu wygląda to tak, że książka jest złożona z małych fragmentów umieszczonych obok siebie „systemem kafelkowym". W pierwszym rzędzie ułatwia to pisarzowi poruszanie się w stworzonej przez niego dużej przestrzeni powieściowej (akcja „Rzeki Czerwonej" toczy się na kilku planach, w Marsylii, Paryżu i na pewnym odcinku wojny vietnamskiej), pozwala mu uniknąć pustych partii tekstu niezbędnych zwykle jako spoiwo. Ale nie w tych technicznych udogodnieniach leży sens podobnej konstrukcji. Prowadząc każdy ze swoich wątków, autor nie ciągnie jego pasma metodą epicką od początku do końca. Rozmieszcza „kafelki" obrazów w pewnych odstępach, tak jak w teatrze rozkłada się w odpowiednich miejscach partie dialogowe, które kolejno eksponują akcję, piętrzą ją i rozwiązują. Można by to porównać do manipulacji reflektorem naświetlającym obiekt w kilku punktach, które połączone w myśli widza dają pełną wizję. Żuławski nigdy nie wieńczy poszczególnych fragmentów pointą — przerywa je tam, gdzie czytelnik spodziewa się znaleźć wniosek. Ale cykl tych fragmentów ma zawsze wymowę równą gotowemu wnioskowi. Na przykład: wątek historii Chantal i jej narzeczonego Martin jest naświetlony w czterech punktach. Pierwsza scena: oboje zdradzają ojcu Chantal decyzję pobrania się i wyjazdu Martina na front vietnamski, przy czym naiwny entuzjazm Martina kontrastuje ze smutnym, sceptycznym poglądem starego Lefebvre'a. Druga scena: Martin styka się z tragiczną, odartą z romantyzmu wojną w Vietnamie. Trzecia: Chantal zbiera podpisy pod apelem pokoju i przy okazji dowiaduje się, że jej narzeczony wraca z obozu jenieckiego w Vietnamie. Wreszcie czwarta: Chantal i jej ojciec czekają na Martina inwalidę wojennego i byłego jeńca w porcie marsylskim, a równocześnie tłum manifestuje przeciw „brudnej wojnie". Każdy z członów tego cyklu jest jakby etapem dojrzewania osobistego nieszczęścia Chantal w logice wypadków ogólnych i każdy doprowadza tak Chantal, jak i czytelnika do zajęcia wobec tych wypadków określonego stanowiska moralnego. Autor, który w gruncie rzeczy prowadzi czytelnika za rękę do określonego, jak powiedzieliśmy, wniosku — wydaje się w tej podróży nieobecnym, zostawia czytelnikowi całą satysfakcję samodzielnego przeżywania i wnioskowania. Jest to dowód dużego kunsztu pisarza.

*

Posługując się metodą, którą wyżej próbowaliśmy sobie uprzytomnić, Żuławski na początku książki eksponuje, a potem rozwiązuje kilka zasadniczych zagadnień: kto jest żołnierzem, czyli „mięsem" tej wojny? — kto robi politykę wojenną? — jak wygląda naprawdę front walki w Vietnamie? — jak reaguje na wojnę lud francuski?

Typowe figury, które składają się na roty ekspedycji francuskiej w Vietnamie to — polski wykolejeniec Whisky, kreatura hitlerowska Hirsch, wreszcie Marokańczyk Mohamed, ongiś bohater wojsk francuskich, obecnie uciekinier i przestępca nie mający innego wyboru, jak podpisać kontrakt do Indochin. Marsylski komisarz policji, który werbuje Mohameda, wypowiada charakterystyczną uwagę: — „Szczęście, że Francja, która nie ma od dawna rządu, ma jeszcze policję". Obraz jest jasny: urągająca prawu narodów ekspedycja francuska posługuje się głównie ludźmi stojącymi poza prawem. Te ludzkie obierzyny idą mroczną „drogą kolonialną" pod przymusem i wbrew swemu interesowi. Czarny Mohamed podnoszący broń przeciw żółtemu Vietnamczykowi — to znowuż inny wymowny skrót polityki kolonialnej...

Obrazy z Vietnamu należą chyba do najlepszych. Dodam nawiasem, że ich moc przekonywająca w dużym stopniu pochodzi stąd, że w książce nie nadużyto akcesoriów i w ogóle smaczków egzotyzmu. Dla przykładu: taka „droga kolonialna", to temat oszałamiający, który w naszej śródlądowej a ściśle mówiąc — mazowieckiej wyobraźni mógłby rozpętać istną trąbę powietrzną epitetów i porównań. Droga kolonialna — to rodzaj traktu wojskowego przebitego, jak chodnik w kopalni, w nie przepuszczającym światła masywie dżunglii. Żuławski wie, że oszczędność opisu może dobitniej trafić w ośrodki wyobraźni niż tradycyjna u Polaków — zwłaszcza w opisach przyrody — wymowność... „Keller podniósł wzrok i zobaczył wysoko wąską ścieżynę nieba z zamglonymi światełkami gwiazd. Tak czasem widać gwiazdy, kiedy patrzy się w studnię. Niebieska ścieżyna ciągnęła się wzdłuż krótkiego pęknięcia w czarnym stropie lasu". Ten krótki opis wystarcza, aby w mgnieniu oka otoczyć nas czarną dżunglą.

Zresztą krajobraz i w ogóle doznania zmysłowe nie grają głównej roli w prozie Żuławskiego. Są one rzadkimi akordami — prawie całe miejsca w tekście wypełnia obserwacja człowieka w jego różnych sytuacjach, które zgodnie z założeniem powieści mają sens ideowy. Jedna z najmocniejszych scen — to moment przemowy pułkownika Chartona do grupy cywilnych Vietnamczyków, których dowództwo francuskie ma zamiar ewakuować. Z wysokości swojego „jeepa" Charton wpatruje się w zamknięte, niezrozumiałe dla niego twarze wieśniaków, pasterzy, flisaków i oznajmia im „dobrą nowinę". Słowa Chartona i jego osobowość — wyschnięta w żołdackiej funkcji i beznamiętna — wyrażają samą istotę sloganowego kłamstwa kolonialnego: że wojska imperialne są tu po to, aby lud vietnamski osłaniać „jak tarczą" przed „zemstą" narodowej armii vietnamskiej, z którą wiążą się wszystkie żywotne interesy tego ludu.

Vietnamski ruch oporu nie wychodzi w książce na scenę, mimo że wciąż czuć i słychać jego działanie, mimo że Vietnamczycy są istotnymi bohaterami książki — jeżeli nie jej fabuły, to jej problemu. Raz tylko jeden, wraz z resztkami rozbitej kolumny francuskiej, które dostają się do niewoli, stykamy się z Vietminhem. Autor na chwilę ukazuje pozytyw swej wizji. Jest to rozwiązanie dyskretne, które wychodzi utworowi na korzyść. Nie dlatego, że — według starej prawdy — pozytyw jest trudniejszy od negatywu. Autor wychodził zapewne z założenia, że stawianie kropki nad „i" w problemie, o którym od początku książki krzyczy każda scena — byłoby artystycznie zbędne. Wolał pokazać przyjazną twarz Vietnamczyka pochylającą się nad brodatym jeńcem marokańskim i tą aluzją zamknąć swą powieść od strony zdarzeń w Vietnamie. W finale całości przenosi nas znowu do Francji.

Do najbrudniejszego kanału portu marsylskiego wpływa statek z byłymi jeńcami i rannymi z Vietnamu. Na te haniebne i bolesne odpadki „brudnej wojny" czeka zebrany na redzie lud. Są tu przyjaciele i krewni, ale są i tacy — którzy „czekają na nich wszystkich". I tu, w skąpym dialogu czytelnik jest poinformowany o jednym z najpodlejszych szczegółów wojny vietnamskiej. Weteran Binet, który właśnie „czeka na nich wszystkich" opowiada:

„— Być zwolnionym, to wcale nie jest zabawne...

„— Jak pan to rozumie?

„— Każdy zwolniony jest już właściwie niezdolny do walki. Zobaczył od właściwej strony tych z naprzeciwka. A potem miałoby się ochotę w inną stronę strzelać. Nasze Drugie Biuro wie o tym. Każdy, kogo Viet puszcza wolno przechodzi kwarantannę gorzej niż zapowietrzony. Zakaz powrotu do dawnej jednostki. W razie przejścia do cywila inwigilacja policyjna... Dlatego byli jeńcy mają ciężkie życie —"

Potem Binet ironicznie dodaje:

„— Ale od tego się nie głupieje. Wprost przeciwnie".

Rzeczywiście zebrany na molo tłum daje wyraz swej drogo opłaconej mądrości. Od doków z molo i z pokładu zbliżającego się statku

(Dokończenie na str. 6)

*) Mirosław Żuławski, Rzeka czerwona, Czytelnik, 1953.

**) Autor umieścił na wstępie następujące zapewnienie: „...wszystko w tej książce jest prawdziwe... prawdziwe są opisane postacie oraz ich rola w toczącej się akcji... Autor nie miał potrzeby wymyślania czegokolwiek, lub kogokolwiek..." Zapewnienie to wydaje mi się zbędne. Może nawet stać się powodem opacznego ustosunkowania się czytelnika do powieści. Zaczniemy się w niej dopatrywać rewelacji anegdotycznych zamiast poświęcić uwagę problemowi, który podejmuje. W dziele literackim, tak jak w każdym innym dziele sztuki najważniejszym nie jest autentyzm budulca, ale wrażenie prawdy, mianowicie prawdy psychologicznej i politycznej, które to dzieło sprawia. Gdyby było inaczej, wówczas stenogram rozprawy kryminalnej — jak to już dawno temu zauważył Taine — mógłby zastąpić szekspirowskiego Macbeta. Nie to przynosi zaszczyt Żuławskiemu, że jakoby „nie potrzebował niczego wymyślać" (w co serdecznie wierzę!), ale to, że właśnie siłą swej obserwacji i talentu stworzył (a więc wymyślił) książkę w swych głównych partiach artystycznie i politycznie prawdziwą.

J U L I U S Z

(Dokończenie ze str. 1.)

JULIUSZ: *(z gorzkim uśmiechem).* „U siebie..." *(rozgląda się)* Więc to tutaj! tutaj spędziłaś te dwa lata..

ETHEL: Tak, dwa lata tortury nadziei...

JULIUSZ: Moja cela jest nieco mniejsza i bardziej ponura. O, nawet i telefon...

ETHEL: *(zmieszana nagle, z nerwowym śmiechem)* Tak, nawet i to...

JULIUSZ: W mojej celi nie ma telefonu...

ETHEL: *(biorąc Juliusza za rękę)* Chodź, usiądziemy! *(prowadzi go do pryczy, siadają na krawędzi, złączeni rękami)* Przez dwa lata dość było czasu, żeby znienawidzieć te cztery ściany. A teraz — stają się nagle takie drogie.. *(po pauzie, cicho)* Teraz, kiedy już wiem na pewno, że to jest moje ostatnie w życiu mieszkanie... *(gwałtownie, z uniesieniem)* Nie, nie dlatego! Stały się drogie, kiedy słyszę w nich twój głos!

JULIUSZ: *(po długiej chwili wpatrywania się w twarz Ethel)* Mówią, że w oczach ludzi mających umrzeć odbija się całe ich życie... Jakże je kocham, Ethel, to, które czytam w twoich oczach!

ETHEL: N a s z e życie! Powiedz mi, czy żałujesz w nim czegokolwiek? Czy, gdybyśmy mogli jeszcze raz zacząć je na nowo, wyrzekłbyś się którejkolwiek myśli, któregokolwiek z uczuć, jakimi żyłeś do tej chwili?

JULIUSZ: Jakimi żyliśmy oboje!

ETHEL: Tak, jakimi żyliśmy oboje.

JULIUSZ: Nie, Ethel, nie wyrzekę się ani jednego dnia z tych dni, które doprowadziły nas tutaj, do domu śmierci. Czy zresztą moglibyśmy żyć inaczej? Czy w naszym życiu było coś niezwykłego? Wiesz dobrze, było w nim dużo codziennej troski o chleb — i zawsze więcej miłości niż chleba. Czyż nie tak samo żyją uczciwi, prości ludzie na całym świecie? *(po pauzie)* Jedynie nasza śmierć będzie trochę inna...

ETHEL: „Nasza śmierć"... Nieraz w ciągu tych dwóch lat, tu, na tym łóżku, zadawałam sobie naiwne pytanie: dlaczego to właśnie — my? Czym zasłużyliśmy sobie, że nas tak okrutnie wyróżniono spośród milionów zwykłych ludzi? Może jednak było w naszym życiu coś, co zwróciło na nas uwagę władców tego kraju? Jak myślisz, Juliuszu?

JULIUSZ: Myślę, kochana, że na naszym miejscu mógłby być ktokolwiek inny. Jesteśmy zakładnikami, wyciągniętymi z masy przeciętnych, uczciwych obywateli tego kraju. Nie o nas chodzi, miła moja, ci panowie celują w mózgi i serca milionów! Prąd, który nas zabije, ma porazić mózgi milionów!

ETHEL: *(z powagą, z głębokim smutkiem)* „Prąd, który nas zabije"... *(zrywa się nagle, wzrok przerażony, odwraca się, patrzy w głąb celi)*

JULIUSZ: *(wstaje również, patrzy na nią pytająco)*

ETHEL: *(opanowując się)* Nic, nic... Zdawało mi się, że za moimi plecami ktoś stoi...

JULIUSZ: Uspokój się, jesteśmy sami.

ETHEL: *(patrzy długo i przenikliwie w twarz Juliusza)* Myślisz, że naprawdę zostawili nas tu samych?

JULIUSZ: *(pobłażliwie, jak do dziecka)* Drzwi zatrzaśnięto, słyszałaś przecież...

ETHEL: *(rozdrażniona)* Tak, tak... drzwi, oczywiście... Przepraszam cię...

JULIUSZ: Pomyśl, jakie to piękne: po raz pierwszy od chwili, kiedy zabrali nas z domu, możemy mówić ze sobą bez świadków!

ETHEL: *(odchodzi do stolika z papierami, siada przy nim, zapatrzona w przestrzeń)*

JULIUSZ: *(za nią, zaniepokojony).* Co ci jest, Ethel?

ETHEL: Nic... nic... *(próbując się uśmiechnąć)* Przyszło mi na myśl, czy moglibyśmy poprosić, żeby nam dali tutaj trochę kwiatów? Podobno d z i s i a j wolno nam mieć specjalne życzenia...

JULIUSZ: *(nieśmiało)* Miałbym jedno, zupełnie zwykłe...

ETHEL: *(uśmiecha się marzycielsko)* Wiem, jakie... wiem, Juliuszu...

JULIUSZ: *(obejmując siedzącą Ethel ramieniem)* Żeby nam pozwolili... tych kilka godzin... z naszymi dziećmi...

ETHEL: Wczoraj próbowałam nawet... ułożyć sobie... naszą ostatnią rozmowę z nimi... To trudne, strasznie trudne... wytrzymać ich przerażone spojrzenia, uspokoić...

JULIUSZ: Pożegnać tak, jakby mieli nas jutro zobaczyć na d z i e ń d o b r y... a jednak tak, jak się żegna najdroższych odchodząc na wieki...

ETHEL: Zastanawiałam się czy sama miałabym na to dość siły? Ale przy tobie, razem z tobą.. *(z nagłym przerażeniem, czepiając się kurczowo ręki Juliusza)* Czy ty naprawdę jesteś przy mnie? Tak się boję...

JULIUSZ: Jestem, kochana, jestem, uspokój się.

ETHEL: I więcej nie ma tu nikogo?

JULIUSZ: Już ci mówiłem, dziecino, na pewno jesteśmy sami, zupełnie sami.

ETHEL: *(zrywa się, krzyczy)* Nie, nie! To nieprawda, Juliuszu! Nie jesteśmy sami! I trzeba, trzeba żebyś ty też o tym wiedział!

JULIUSZ: Na miłość boską, o czym ty mówisz, Ethel?

ETHEL: Nie chciałam, drogi mój, nie chciałam, ale nagle przeraziłam się, że jeśli ci tego nie powiem — popełnię może morderstwo... Tak, ależ tak! W tej chwili musimy być ze sobą szczerzy jak nigdy, widzieć się na wskroś!

JULIUSZ: Szczerzy jak nigdy? Co to znaczy, Ethel? Jesteśmy szczerzy jak zawsze, chyba to chciałaś powiedzieć?

ETHEL: A jednak przez chwilę zdawało mi się, że po raz pierwszy w życiu mogę i muszę coś ukryć przed tobą... Przepraszam cię za to, Juliuszu... *(bierze go za rękę, prowadzi do stolika z telefonem)* W twojej celi nie ma telefonu. W mojej także go nigdy nie było. Dopiero dzisiaj, przed kwadransem... Widzisz teraz, dlaczego wciąż mi się zdaje, że nie jesteśmy tu sami.

JULIUSZ: *(zniecierpliwiony)* Jaśniej, Ethel, jaśniej!

ETHEL: *(wskazując telefon)* Jak myślisz, z kim to jest połączone?

JULIUSZ: *(odruchowo kładzie rękę na słuchawce)*

ETHEL: Nie, nie dotykaj tego! Wiesz co to jest? To jest ucho pana prokuratora federalnego *(drwiąco)* „Wystarczy podnieść tę słuchawkę i powiedzieć do niej kilka krótkich słów"... Liczą, że załamiemy się w ostatniej chwili. Ten telefon ma nam to ułatwić... Ach, jacyż oni podli, jacy podli!

JULIUSZ: *(wpatrzony w telefon)* Głupcy! Głupcy!

ETHEL: Daj rękę! *(przykłada dłoń Juliusza do swej piersi)* O, tu bije moje serce. Znasz je dobrze. Zawsze było wierne. *(kładzie dłoń na piersi Juliusza)* A tutaj bije twoje, mężne i tak samo wierne. A im się zdaje, tym zbrodniarzom, że serca zwykłych ludzi są tylko mięsem pełnym strachu!

JULIUSZ: Każę to zabrać stąd!

ETHEL: Biedaku! Cóż my tu możemy „kazać"? Nie, to ma zostać tu do ósmej wieczór.

JULIUSZ: To nikczemne! Nie znoszę tego!

ETHEL: *(z napięciem wpatrzona w twarz Juliusza)* Dla nas ten przedmiot nie ma żadnego znaczenia, prawda, Juliuszu?

JULIUSZ: *(surowo)* A jednak... jednak próbowałaś ukryć to przede mną... *(z bólem)* Dlaczego, Ethel, dlaczego? Czyżbyś się bała że d l a m n i e ten przedmiot może mieć jakieś znaczenie? Jeżeli tak myślałaś choć przez chwilę, wierz mi, byłoby to najgorsze, co mogło mnie spotkać!

ETHEL: *(łagodnie)* Nie, Juliuszu. Chciałam oszczędzić ci zniewagi, jaką nam wyrządzono... Teraz przecież nie walczymy już o nasze życie — jedynie tylko o nasz honor, o naszą ludzką godność! *(po chwili, z wahaniem)* Myślałam również... *(urywa)*

JULIUSZ: Co myślałaś, Ethel?

ETHEL: Myślałam, że będzie nam łatwiej, jeżeli będzie o tym wiedzieć tylko jedno z nas...

JULIUSZ: Właśnie ty?

ETHEL: Mnie powiedziano wcześniej. Zdawało mi się, że wolno mi nie wciągać ciebie w tę nikczemną grę... Chciałam, żeby te nasze ostatnie godziny były zupełnie czyste, żeby ich nie zmąciła najmniejsza chwila słabości...

JULIUSZ: *(surowo)* A jednak właśnie to było słabością!

ETHEL: *(z wyrzutem)* Juliuszu!

JULIUSZ: *(wzburzony, chwytając ją oburącz za ramiona)* Słuchaj, to dla mnie ważne, odpowiedz mi tak szczerze, jak tylko potrafisz w tej chwili!

ETHEL: *(pełna lęku)* Słucham cię, drogi...

JULIUSZ: Czy... jesteś zupełnie pewna, że jesteśmy już p o t a m t e j s t r o n i e?... No, patrz mi w oczy i mów! Mów! *(wpatruje się z napięciem w twarz Ethel)*

ETHEL: *(powoli przymyka oczy)*

JULIUSZ: *(ze zgrozą)* Dlaczego milczysz, Ethel? Na miłość boską, dlaczego mi nie odpowiadasz?

(ściemnienie)

Odsłona druga

Ta sama cela, w godzinę później. ETHEL siedzi przy stoliku z papierami, pisze. JULIUSZ stoi za nią, z ręką na jej ramieniu, powoli dyktuje.

JULIUSZ: ...Może to Wasze szczęście, a w nim i nasza pociecha, że jesteście jeszcze obaj zbyt młodzi aby odczuć i zrozumieć w całej pełni to, co spotkało Waszych rodziców. Kiedyś jednak, gdy dorośniecie...

ETHEL: *(przestaje pisać, podnosi oczy na Juliusza)* Jak myślisz, ile zdołają z nas zapamiętać?

JULIUSZ: Przywilejem dzieciństwa jest łatwość zapominania. Pamiętasz chyba to smutne zdarzenie sprzed kilku miesięcy, o którym pisała mi moja siostra...

ETHEL: Jakie zdarzenie, Juliuszu?

JULIUSZ: Robby wyliczając osoby, które najbardziej kocha, nie wymienił ani ciebie, ani mnie... Gdy Lena zapytała go o nas, odpowiedział: tak, ale dlaczego oni nie wracają do domu?

ETHEL: Wiem, było coś takiego... ale kazałam sobie nigdy nie myśleć o tym...

JULIUSZ: Co do mnie, chociaż to ciężko powiedzieć, nie mogę czasem oprzeć się pragnieniu, żeby mogli zapomnieć o nas jak najprędzej.. To brzmi okrutnie, ale to byłoby dla nich mniej okrutne...

ETHEL: Nie, Juliuszu, w tym jednym wypadku pozwól mi być egoistką. Chcę, chcę ze wszystkich sił, żeby ich pamięć nie uroniła z nas najmniejszej cząsteczki!

JULIUSZ: Niestety, źli ludzie najdotkliwiej nie pozwolą im o nas zapomnieć. Biedny Michaś już to odczuwa w swoim dziesiątym roku życia... Wiesz, że znaleźli się koledzy, którzy odwrócili się od niego...

ETHEL: Więcej, o wiele więcej jest takich, którzy otoczą ich miłością! Ich — naszych synów! *(po chwili)* Piszmy dalej, drogi mój. „Kiedyś, gdy dorośniecie"...

JULIUSZ: *(dyktuje)* ...umysły Wasze ogarną wielkość krzywdy, jaką Wam i nam wyrządzono. Zrozumiecie wtedy więcej jeszcze: wielkość zbrodni, jakiej się dopuszczono nie tylko wobec Was i nas, ale także wobec naszej amerykańskiej ojczyzny i wobec całej ludzkości... *(urywa, gdyż Ethel przestała pisać, podniosła głowę jakby nadsłuchując, Juliusz czyni za nią to samo, po chwili patrzą na siebie, uśmiechają się niepewnie, po czym wracają do listu)* Umieramy niewinni... Ale łatwiej nam umierać we dwoje... W obliczu czekającej nas ostatniej męki chcemy przekazać Wam i całemu światu myśl, która w tych ciężkich godzinach jest dla nas najważniejsza... *(urywa)*

ETHEL: *(podnosząc wzrok na Juliusza, z napięciem)* Mów, Juliuszu, znam tę myśl na pewno!

JULIUSZ: *(dyktując)* ...myśl, którą dopiero kiedyś zrozumiecie... Zapamiętajcie ją sobie, chłopcy, oto ona: N i e t r z e b a s i ę b a ć n i c z e g o o p r ó c z s a m e g o s t r a c h u...

ETHEL: *(pisze, skończywszy zdanie podnosi wzrok na Juliusza, długo i przenikliwie patrzą sobie w oczy)*

JULIUSZ *(po chwili)* Czy zgadzasz się, kochana, że to w tej chwili dla nas najważniejsze?

ETHEL: *(wstaje powoli)* Przez cały czas nie myślę o niczym innym, choć nie umiałabym tego powiedzieć tak jasno, jak ty to zrobiłeś... *(po chwili).* A jednak... *(urywa)*

JULIUSZ: Dlaczego nie kończysz, Ethel?

ETHEL: *(z wahaniem)* Jednak, kiedy to powiedziałeś głośno, przeraziłam się...

JULIUSZ: *(milczy, po chwili, z goryczą)* Być może, wielu ludzi uważa nas za bohaterów. Gdybyż wiedzieli, jak bardzo nie chcemy być męczennikami!

ETHEL: *(w zamyśleniu)* Tak, przeraziłam się prawdy, którą powiedziałeś. Słuchaj! Lękać się strachu — to przecież znaczy lękać się samego siebie! Przez dwa lata nigdy nie czułam tego tak jak w tej chwili... Juliuszu! Juliuszu! Musisz mi zaraz powiedzieć coś, co chroni od szaleństwa! *(z rozpaczą)* Drogi mój! To nieprawda, to nieprawda, że łatwiej umierać we dwoje! *(biegnie do łóżka, pada na nie z twarzą ukrytą w dłoniach)*

JULIUSZ: *(idzie za nią, siada obok, kładzie rękę na jej ramieniu)* Słuchaj mnie, Ethel. Gdyby nasi chłopcy byli w tej chwili przy nas, na pewno patrzylibyśmy w ich oczy z uśmiechem. Trzeba żebyśmy czuli przy sobie ich obecność i na sobie ich spojrzenia pełne lęku... Musimy ich uspokoić, naszych chłopców, nasz uśmiech jest im potrzebny, nasze męstwo — konieczne...

ETHEL: *(długo nie odpowiada, nagle podnosi się, patrzy przed siebie na wpół przytomnie, po chwili, szeptem)* Która godzina?

JULIUSZ: *(łagodnie)* Staraj się nie myśleć o tym, Ethel... Nasz czas nie ma już żadnej ludzkiej miary...

ETHEL: *(odzyskując poczucie rzeczywistości)* W tej celi słońce zjawia się teraz około czwartej po południu. To pewnie już niedługo... *(pokazując).* O, tu się zjawia, w tym miejscu na podłodze...

JULIUSZ *(staje przy niej, oboje odruchowo podnoszą głowy, patrzą w otwór okienny)*

ETHEL: *(po chwili)* Ten skrawek nieba znam jak własną duszę. Przez dwa lata wypijał wszystkie moje myśli, całą mękę aż do szaleństwa... i całą ufność do świata! Patrz, jaki czysty błękit!

JULIUSZ: Tak bym chciał zobaczyć jeszcze mewę lecącą nad Hudsonem!

ETHEL: Na pewno jest słońce. Tak bym chciała jeszcze raz móc je zobaczyć! Nie, nie tutaj, przez tę kratę! Tak, jak dawniej! Wziąć za ręce Roberta i Michasia — i iść plażą, brzegiem morza, na Coney Island... a ty żebyś szedł naprzeciw nas z pomarańczami kupionymi w kiosku...

JULIUSZ: *(z uniesieniem, wpatrzony w otwór okienny)* Dzieci nasze! Nie możemy Wam już nic ofiarować prócz naszych marzeń o życiu czystym i pogodnym, wolnym od strachu i kłamstwa... Zapamiętajcie: musimy umierać za to, że nie chcemy wyrzec się naszej godności ludzkiej i prawa do takiego właśnie życia...

ETHEL: Chodź, napiszemy im te słowa! *(trzymając się za ręce wracają do stolika, Ethel siada, szybko pisze, powtarza napisane)* „Nie możemy Wam już nic ofiarować, najdrożsi..."

JULIUSZ ...prócz naszych marzeń o życiu czystym i pogodnym, wolnym od strachu i kłamstwa... Musimy umierać za to, że nie chcemy... *(urywa, oboje odwracają się nagle w stronę drzwi, słuchają)*

ETHEL: *(półgłosem)* Ktoś szedł i stanął przed naszymi drzwiami.

JULIUSZ: Tak, czyjeś oczy w otworze...

ETHEL: *(z udręką)* Przyzwyczaiłam się, że nas podglądają w celach, kiedy jesteśmy samotni. Ale teraz... Juliuszu, w tych ostatnich godzinach, mogliby nam już oszczędzić tej niegodziwości! Powiedz im, na miłość boską, że mamy teraz prawo być zupełnie sami!

JULIUSZ: *(idzie w stronę drzwi, staje przed nimi, mówi surowo)* A więc tak, spojrzyj mi w oczy, zły człowieku po tamtej stronie! Jeżeli nie cofniesz się przerażony, nie jesteś godny nazywać się człowiekiem!

(długie milczenie)

(drzwi otwierają się, staje w nich DOZORCZYNI, z małym biurkowym zegarkiem w ręce)

DOZORCZYNI: *(nieco zmieszana)* Niech pan daruje, robię tylko moją służbę... Pan prokurator dzwonił na oddział, żeby... że tu trzeba do państwa zegarek... *(stawia zegarek na stoliku obok telefonu)* Robię co każą... *(dobrodusznie)* A zegarek chyba nie zaszkodzi... dobrze jest wiedzieć swój czas... Nawet jak się go ma niedużo, zawsze jest swój... tego już nikt nie zabierze... *(wychodzi zatrzaskując drzwi)*

JULIUSZ: *(cofnął się, stoi obok Ethel, oboje wpatrują się w zegarek)*

ETHEL: *(po chwili, zdławionym głosem)* Która? Nie widzę dobrze...

JULIUSZ: Za dwadzieścia czwarta...

ETHEL: Już? *(podchodzi do stolika, bierze zegarek w obie ręce, wpatrując się w jego tarczę wraca do Juliusza)* Pulsuje jak serce... Pamiętasz, jako narzeczony ofiarowałeś mi zegarek z bransoletką...

JULIUSZ: Tak, powiedziałem przy tym: niech odmierza ci szczęśliwe życie...

ETHEL: Wstydziłam ci się wtedy przyznać, że zawsze trochę bałam się zegarów. Czy w chwilach szczęścia spojrzałeś kiedy na zegarek? Jeżeli to zrobiłeś, szczęście zmieniało się od razu w smutek... Nie, nie! Nie patrzmy na to! Nasze serca jeszcze biją! Nie chcę słyszeć niczego prócz nich! *(wciska zegarek w rękę Juliusza)* Postaw to tam... i przyrzeknijmy sobie, że nie spojrzymy na to więcej!

JULIUSZ: *(z łagodnym smutkiem)* Czy jesteś pewna, że za chwilę nie złamiesz tego przyrzeczenia? Pamiętasz, „dobrze jest wiedzieć swój czas", tak powiedziała ta kobieta — i jest coś bardzo ludzkiego w tych nieludzkich słowach...

ETHEL: Nie, to szaleństwo — patrzeć teraz na te wskazówki, słuchać każdej idącej sekundy!

JULIUSZ: A jednak spojrzyj odważnie. Jakże nędzny jest wysiłek tego mechanizmu, jaki martwy ten pozorny ruch! Głupcy! przysłali nam to, żeby kroplami sekund zabijać nasze mózgi, jak w starej chińskiej torturze... Ale, cokolwiek by wymyślili... *(idzie do stolika z telefonem, stawia na nim zegarek)* ...nie zabiją w nas naszej prawdy i nie odbiorą miłości, która przepełnia nasze ostatnie godziny!

ETHEL: *(osuwa się na krzesło)* Cóż za świat! Cała ich potęga — i nas dwoje!

JULIUSZ: To bardzo proste, Ethel. Ludzie, którzy chcą zalegalizować swoją zbrodnię, wiedzą że mogą to uzyskać jedynie z ust swoich ofiar. Wierzą oni w potęgę strachu, bo sami są pełni strachu, to właśnie strach pcha ich do zbrodni. Bardziej niż nasza śmierć potrzebne im jest nasze kłamstwo, żeby oszukać nim świat. Otóż my odmawiamy im legalizacji morderstwa, którego na nas dokonają! Tak, Ethel, niech te wskazówki spokojnie odmierzają swoje sekundy i minuty... *(stając przy Ethel obejmuje ją ramieniem)* Droga moja! Będziemy żyli dłużej niż wszystkie amerykańskie zegary!

ETHEL: *(z uniesieniem wpatruje się w twarz Juliusza, po chwili, niemal pogodnie uśmiechnięta)* Piszmy dalej, Juliuszu! Rozmawiajmy z naszymi chłopcami!

JULIUSZ: *(dyktuje)* W tych ciężkich ostatnich godzinach wiemy jedno: że nie wyprzemy się, nie zdradzimy samych siebie. Nie kupimy życia za kłamstwo — czyż wtedy byłoby ono prawdziwym życiem? Jesteśmy przekonani o słuszności naszego wyboru i z tego przekonania czerpiemy siłę i spokój... *(milknie, zamyśla się)*

ETHEL: *(napisawszy, odkłada pióro, bierze rękę Juliusza, przytula do niej twarz)* Dziękuję ci, Juliuszu!

JULIUSZ: *(z uśmiechem)* Za co kochanie?

ETHEL: Za twoje słowa. Tak mi dobrze, kiedy cię słucham...

JULIUSZ: *(po chwili, wzruszony)* Ty płaczesz, Ethel?

ETHEL: Pozwól moim łzom płynąć po twojej ręce. To łzy szczęścia. Tak cię kocham!

(długa pauza; nagle Ethel podnosi głowę, słucha z lękiem w oczach, po chwili, szeptem) Co to jest? Czy to twoje serce tak głośno bije?

JULIUSZ: Jestem przy tobie, droga...

ETHEL: *(nadsłuchując)* Nie, to nie serce... *(zrywa się z krzykiem).* Nie! Nie! *(biegnie do stolika z telefonem, chwyta zegarek, podnosi go w zaciśniętej ręce jakby chcąc rzucić o ziemię)*

JULIUSZ: Ethel!

ETHEL: *(przytomnieje, opuszcza rękę, z osłupieniem wpatruje się w zegarek)*

JULIUSZ: *(przy niej, delikatnie wyjmuje z jej dłoni zegarek, stawia na stoliku)* Drżysz cała... uspokój się... musimy skończyć nasz list... przerwaliśmy go przecież przy słowach: czerpiemy s i ł ę i s p o k ó j... *(prowadzi ją do stolika z listem)*

ETHEL: *(oszołomiona)* Spokój... nasz spokój...

JULIUSZ: *(miękko)* Nie jest to łatwy gatunek spokoju, ale...

ETHEL: *(ogarnięta nagłą grozą)* Tyle w nas miłości, Juliuszu, a jednak... jacyż okrutni z nas rodzice!

JULIUSZ: *(z niepokojem)* O czym ty mówisz, Ethel?

ETHEL: *(ostro, niemal brutalnie)* O tym, właśnie o tym, że w tej chwili od nas jeszcze zależy, czy naszym dzieciom zadany będzie cios, który ich czeka... Nie mogę, nie mogę nie myśleć o tym...

JULIUSZ: *(ze spokojną siłą)* Od nas w tej sprawie nigdy nic nie zależało, Ethel — nic, prócz obrony naszej czci! naszej prawdy!

ETHEL: Nasze dzieci tego nie pojmą! Wiem, że zapłaczą jutro: ojcze, matko, dlaczego nie chcieliście się ratować? Słuchaj, przeraża mnie myśl, czy my, niewinni, broniąc do końca naszej niewinności, nie bierzemy na siebie winy o wiele cięższej niż ta, którą nam zarzucają?

JULIUSZ: *(z rozpaczą)* Ethel! Ethel! Nie to jest ważne, że jesteśmy niewinni lecz to, że świat i nasze dzieci wierzą w naszą niewinność! Miliony ludzi zaufały nam, nasze dzieci wierzą w nas — czyż moglibyśmy ich zdradzić? Ethel, na miłość boską, po cóż ja ci to mówię, wiesz o tym przecież tak samo dobrze jak ja!

ETHEL: *(z udręką)* Ach, wiem, wiem... *(odchodzi na bok, stamtąd, cicho, jakby ze skargą)* Ale czy powiedziałam co złego? I czy jesteś pewny, że to była moja myśl? Nie ma już teraz moich i twoich myśli — są tylko n a s z e, wspólne, nierozdzielne! Nie, nie zdradzimy tych, którzy nas kochają, ale pozwól mi cierpieć ból, jaki im zadamy... pozwól mi wycierpieć ból naszych dzieci!

JULIUSZ: *(staje przy Ethel, przytula ją)* Nieraz w ciągu tych dwóch lat zadawałem sobie pytanie, czy mamy prawo stawiać naszą godność ponad cierpieniem naszych dzieci? Czy ludziom prostym, jak my, wolno bronić swojego honoru — nie, nie za cenę własnego życia, bo tym o wiele łatwiej rozporządzać, ale za cenę bólu zadanego własnym dzieciom? ciosu, który może okaleczyć na zawsze ich młode, wątłe dusze? To jest myśl, która i ciebie przed chwilą przeraziła — czy tak, kochana?

ETHEL: Tak, właśnie to Boję się myśleć głośno, ale chwilami czuję w sercu lód, coś nieludzkiego.. Wtedy ogarnia mnie popłoch, boję się patrzeć ci w oczy... żeby się z tym nie zdradzić... i żeby w twoich oczach nie ujrzeć tego samego... Ach, Juliuszu! czy to dobrze, że jesteśmy ze sobą tak okrutnie, tak bezlitośnie szczerzy? Mów, mów, co mamy robić, żeby zachować siłę, która nam jeszcze będzie tak potrzebna?

JULIUSZ: Siłę i spokój.. Gdybyśmy mogli wznieść się wysoko, bardzo wysoko, tam gdzie już nic nie boli! Ale jesteśmy zwykli, prości ludzie, którzy tak mocno kochają życie... swoje dobre, najlepsze, owocne lata, kiedy najmocniej chce się żyć!

ETHEL: Tak, i to straszne, głuche uczucie, którego nie mogę się pozbyć... to uczucie, że nie jesteśmy tu sami... że wciąż coś za plecami... albo wślizguje się między nas, płacze niewidzialne nici...

(długa pauza; oboje odruchowo kierują spojrzenia w głąb, na stolik z aparatem telefonicznym)

JULIUSZ: *(z nagłą decyzją odsuwa Ethel, idzie do aparatu, kładzie rękę na słuchawce)*

ETHEL: *(przerażona).* Juliuszu! *(biegnie za nim, chwyta za rękę)* Co ty chcesz zrobić? *(mocują się oczyma)*

JULIUSZ: *(na granicy świadomości, szeptem)* Muszę! muszę! To nas wyzwoli, Ethel... *(stanowczo odsuwa jej rękę, podnosi słuchawkę)*

ETHEL: Nie! Nie! *(jak przed ciosem zakrywa twarz dłońmi)*

JULIUSZ: *(po chwili, do słuchawki)* Pan prokurator? *(po chwili)* Rzeczywiście, chcę panu coś powiedzieć... *(po chwili)* Tylko dwa zdania.... N i e c h p a n n i e t r a c i c z a s u n a p r ó ż n o... S ł o w a, n a k t ó r e p a n c z e k a, n i e b ę d ą n i g d y p o w i e d z i a n e... Tak, to wszystko. *(odkłada słuchawkę)*

ETHEL: *(odsłaniając twarz, jeszcze oszołomiona)* Coś ty zrobił? Dlaczego?

JULIUSZ: *(z uśmiechem, podtrzymując ją)* Żeby wzmocnić nasze siły. Tak, tak, no już, uspokój się... Widzisz, jeżeli kiedy nawiedzały mnie myśli, których się wstydziłem, zawsze starałem się wypowiedzieć je głośno, usłyszeć je... To był mój sposób obrony. Tak, Ethel, trzeba się bać najbardziej tego, co się nie daje wyrazić głośno słowami... Podobnie jest z tym tu... Poczułem nagle, że aby nas uwolnić od złej siły, tkwiącej w tym przedmiocie, muszę zmierzyć się z nim otwarcie — dotknąć go, czy ja wiem, rozbić może... cokolwiek z nim zrobić, prócz tego oczywiście, na co liczą o n i...

ETHEL: *(w zamyśleniu)* Tak, tak... rozumiem cię...

JULIUSZ: Czy nie wydaje ci się że teraz zelżał ten ucisk pod czaszką?

ETHEL: Tak, tak... *(innym tonem)* Czy on ci coś odpowiedział?

JULIUSZ: Prokurator? Nie wiem. Odzywał się, ale przecież go nie słuchałem. *(z uśmiechem)* Przecież ja nie mówiłem d o n i e g o!

ETHEL: *(po chwili Tak teraz zrobiło się cicho, ciszej niż przedtem... Czy to dlatego, że teraz jesteśmy naprawdę sami?*

JULIUSZ: Pewnie dlatego, kochana.

ETHEL: *(po chwili, gorącym szeptem)* Pocałuj mnie!

JULIUSZ: *(w uścisku)* Szczęście moje! Nieraz wyrzucałem sobie, że za mało cię kocham. Marzyłem, że długie życie pozwoli mi wyrównać niedostatki moich uczuć...

ETHEL: Nasza miłość należy już nie tylko do nas... i nie tylko do dwóch małych chłopców, noszących nasze nazwisko... Nasza śmierć zaboli miliony ludzi na całym świecie... miliony naszych braci i sióstr...

JULIUSZ: Tak, Ethel, ci, którzy nas mordują, zagrażają milionom dzieci i wszystkim rodzicom — tu, w Ameryce, w Europie, w Azji... Lecz nasza śmierć natchnie siły zagrożonych, ból naszych synów wzmocni gniew milionów! Ethel! Ethel! Nie umieramy bez nadziei, nie oddajemy życia nadaremnie! *(długa pauza)*

ETHEL: *(podnosi nagle głowę, nadsłuchuje)*

JULIUSZ: *(za nią czyni to samo)*

ETHEL: *(po chwili, wskazując lewą ścianę, szeptem)* Słyszysz? To tam... za tą ścianą... *(trzymając Juliusza za rękę cofa się do ściany prawej, opiera się o nią plecami, po chwili)* Ktoś tam jest... jacyś ludzie.. *(ze zgrozą)* Czy ty wiesz, co tam jest... za tamtą ścianą? Och, Juliuszu! *(ukrywa twarz na jego piersi)*

JULIUSZ: *(zrozumiał, nie odrywając wzroku od ściany lewej otacza Ethel ramieniem, jakby osłaniając ją przed grożącym ciosem)*

ETHEL: *(podnosząc twarz, łamiącym się głosem)* Ja tu dwa lata... przez ścianę z t y m... tyle nocy! W tej części więzienia jest tak cicho, najciszej... O, gdybyś znał moje noce! Na tym łóżku, przy ścianie, za którą odbiorą nam życie... A teraz są tam już ci ludzie... nasi zabójcy... *(przełamując się, z męczeńskim uśmiechem)* Och, przepraszam cię, drogi mój! musisz przywołać mnie do porządku... tylko błagam cię, nie mów, że miałam dość czasu żeby się przyzwyczaić do tego strasznego sąsiedztwa! Dobrze już, dobrze... patrz, ja się uśmiecham! *(biorąc Juliusza za rękę)* Chodź, teraz już naprawdę musimy skończyć nasz list! *(prowadzi go do stolika, siada, bierze pióro, czeka, wpatrzona w twarz Juliusza)*

JULIUSZ: *(pod jej spojrzeniem przysłania twarz dłońmi)*

(długa pauza)

(drzwi otwierają się, Dozorczyni wchodzi z gazetą „New York Times" w ręce, kładzie ją na stoliku obok telefonu, przez chwilę obserwuje Juliusza i Ethel, po czym decyduje się przenieść gazetę na stolik z papierami)

DOZORCZYNI: Gazeta. I spacer też dzisiaj będzie, jak zwykle o piątej... ale osobno, pani na swoim i pan na swoim podwórku... Chyba że państwo nie zechcą... dziś to już według życzenia.. *(czeka przez chwilę na odpowiedź, nie doczekawszy się wzrusza ramionami, wychodzi)*

ETHEL: *(przez cały czas wpatrzona w Juliusza, po wyjściu Dozorczyni)* Juliuszu!

JULIUSZ: *(odsłania twarz)* Ktoś tu był?

ETHEL: Dozorczyni. Przyniosła gazetę...

JULIUSZ: Aa, gazetę! *(odruchowo wyciąga rękę)*

ETHEL: *(powstrzymując)* Nie, nie bierz tego!

JULIUSZ: *(z ręką wyciągniętą ku gazecie, patrzy na Ethel pytająco)*

ETHEL: Nie, dziś już nie. Tak długo znieważali nasze życie, dziś na pewno znieważają naszą śmierć.

JULIUSZ: Pomyśleć, że miliony ludzi biorą to do ręki! Bardziej niż sama śmierć przeraża ta powódź błota, cynizmu i kłamstwa, pod którą chcą nas pogrzebać. Ach, Ethel! Wyjść, móc teraz wyjść na ulicę, zatrzymywać nieznanych przechodniów i mówić im prawdę! Naszą prawdę! Ostrzec ich przed ich własnym losem!

ETHEL: Tak, tak! Musieliby nas zrozumieć!

JULIUSZ: *(po chwili, z bolesnym zdumieniem)* A jednak trudno to pojąć, że jutro znów wyjdą gazety... Gończe psy prędko wywęszą nowe ofiary...

ETHEL: Podobno ludzie umierający wierzą czasem, że świat umrze razem z nimi. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Czyż nie piękniej jest wierzyć, że będzie istniał dalej — w złym i w dobrym... nie! W dalszej walce dobrego ze złym, prawda, Juliuszu?

JULIUSZ: Tak, kochana. I my będziemy istnieć dalej, poza śmiercią! *(wskazując gazetę)* Wyje z radości sfora najemników: „Biały Dom odmówił łaski"... Ach, cóż za maskarada słów! Biały Dom odmówił sprawiedliwości — tak woła świat, tak powie o tym historia.

ETHEL: Kiedy dorosną nasi synowie i będą mieli własne dzieci, opowiedzą im, jak umieraliśmy mocni i młodzi. Będzie to pod koniec wieku... Drogi mój! Jak słodko jest pomyśleć, że jeszcze wtedy będziemy żyli w sercach małych dzieci — bardziej żywi, niż gdybyśmy żyli naprawdę! Mocni i młodzi — tak zostaniemy na zawsze w pamięci świata.

JULIUSZ: Tak, Ethel. Mocni i młodzi.

(długa pauza)

(Kroki w korytarzu, zgrzyt klucza)

DOZORCZYNI: *(wchodzi przymykając drzwi za sobą, przez chwilę wytrzymuje pytające spojrzenia więźniów)* Mr. Bloch czeka na państwa w pokoju recepcyjnym. Jest pozwolenie na rozmowę.

(Juliusz i Ethel patrzą na siebie, radośnie poruszeni)

ETHEL: Manny! Jak to dobrze, że przyszedł!

JULIUSZ: *(do Dozorczyni).* Mamy iść zaraz?

DOZORCZYNI: Zaraz. Mr. Bloch czeka. *(poufnie)* Już dwie godziny odsiedział w administracji, żeby dostać pozwolenie.. *(jeszcze ciszej)* Chłopców też przyprowadził, obu!

(wstrząs, długa pauza)

ETHEL: *(zachwiała się)* O mój Boże! Juliuszu! *(kurczowo chwyta Juliusza za ramię)*

JULIUSZ *(oszołomiony)* Słyszysz, Ethel? Przyprowadził ich!

DOZORCZYNI: Ale tymczasem pozwolenie jest tylko dla pana obrońcy... Chłopców musiał zostawić w administracji... nic im nie będzie, dostali czekoladek... Może i im pozwolą, trochę później..

ETHEL: *(na wpół przytomna, szeptem)* Trochę... później... *(krzyczy)* Kiedy, na miłość boską? Kiedy?

DOZORCZYNI: Żeby od razu nie za dużo... czy ja wiem?

JULIUSZ: *(wstrząśnięty, uspokajając)* Ethel! Ethel!

ETHEL: Juliuszu! Oni są tutaj... blisko! Nie, nie chcę, żebyś mnie uspokajał... Chodź, będziemy

I ETHEL

błagać naszego przyjaciela, niech zrobi wszystko co można! Przecież nie mogą, nie mogą nam odmówić!

DOZORCZYNI: Spokojnie mrs. Ethel, spokojnie. Pan obrońca na pewno i tamto załatwi...

ETHEL: Chodźmy, Juliuszu!

(Dozorczyni otwiera drzwi, Juliusz i Ethel szybko wychodzą trzymając się za ręce)

DOZORCZYNI: *(za progiem, powoli zamykając drzwi).* Do ósmej jeszcze dużo czasu...

(ściemnienie)

Odsłona trzecia

Pokój w administracji więzienia, zajęty przez Prokuratora. Normalne urządzenie biurowe. Na biurku dwa aparaty telefoniczne, obok biurka na osobnym stoliku jeszcze jeden („ten") aparat, z boku stolik z napojami i fotele. Duży zegar ścienny wskazuje godzinę 15.30. Na kalendarzu ściennym data: 19 czerwca.

Za biurkiem siedzi PROKURATOR, naprzeciw niego OBROŃCA. Głębiej, pod oknem, DYREKTOR więzienia.

PROKURATOR: Widzi pan, mr. Bloch, pańscy klienci żyli dotąd złudzeniami. Najpierw łudzili się, że wmówią swoją rzekomą niewinność naszym sądom. Potem, gdy to się nie udało, uwierzyli w skuteczność zgiełku rozpętanego w ich obronie przez komunistów i ludzi łatwowiernych, których nie brak w różnych krajach, nie wyłączając naszego. Jak pan wie, wytrzymaliśmy ten szturm, choć muszę przyznać, że w ostatnich miesiącach wymagało to niezwykle silnych nerwów...

OBROŃCA: Tych chyba nie brak żołnierzom „zimnej wojny"? Czego innego za to wam brakuje, mr. Wayne: wyobraźni.

PROKURATOR: Ależ, zostawmy ją poetom!

OBROŃCA: A jednak! Polityka bez wyobraźni to nonsens, miecz w rękach szalonego. Lekceważycie sumienie świata nie zdając sobie sprawy — jaka to siła! Hitler popełniał ten sam błąd.

PROKURATOR: *(zniecierpliwiony)* Nie wywołujmy duchów, mr. Bloch. Faktem jest, że pańscy klienci łudzili się wyobrażając sobie... o właśnie! w y o b r a ż a j ą c s o b i e przez wiele miesięcy, że tak zwany „świat" wybawi ich od kary. I otóż dziś po południu ci ludzie wyszli nareszcie z fatalnego kręgu swoich złudzeń. Powstała zupełnie nowa sytuacja: ich los, ich życie, na kilka godzin znalazły się wyłącznie w ich rękach, zależnie od i c h wyboru! W tej chwili nie mogą już liczyć absolutnie na nikogo oprócz — samych siebie! Chodzi o to, żeby jak najprędzej uświadomili sobie tę nową, ale — niestety — bardzo krótkotrwałą sytuację i oczywiście, żeby, póki czas, wyciągnęli z niej właściwą konkluzję!

OBROŃCA: Pan chciałby, mr. Wayne, żebym ja dopomógł im do tego?

PROKURATOR: Myślę, że pan, panie obrońco, może zrobić dużo w tym kierunku. Dlatego właśnie zgadzam się na półgodzinną rozmowę pana ze skazańcami. Jak pan widzi, robimy wszystko, żeby ich uratować. Tylko dlatego od półtorej godziny siedzę tu, przy t y m telefonie... chociaż jest upał i stąd zaledwie pięć minut drogi do pływalni.

OBROŃCA: Na pana miejscu poszedłbym się wykąpać. Jestem głęboko przekonany, że ten telefon... *(ze wzruszeniem)* nie odezwie się i przez następne godziny... *(bardzo cicho)* aż do końca!

DYREKTOR *(który przysłuchiwał się uważnie)* I co, jako obrońca uważa pan, że tak właśnie być powinno? Coś takiego wyczułem w pańskim głosie, mr. Bloch...

OBROŃCA: Nie wiem, co pan wyczuł, panie dyrektorze. Ja tylko... dobrze znam moich klientów... moich przyjaciół...

PROKURATOR: Ależ, mr. Bloch, oni sami nie znają siebie na tyle, żeby twierdzić, z taką jak pan stanowczością, co zrobią, a czego nie zrobią w ostatnich godzinach życia!

OBROŃCA: *(z udręką).* Być może. Ja tylko wyraziłem m o j e osobiste przekonanie...

DYREKTOR: Ba! Pan! Panu nie grozi dziś wieczorem fotel elektryczny!

OBROŃCA: Niestety, mr. Sheps, jesteśmy na prostej drodze do tego, że może mi to grozić za pół roku lub za rok...

PROKURATOR: Ach, cóż znowu! To jakaś obsesja, mr. Bloch! *(dzwoni jeden z telefonów, wszyscy trzej drgnęli, patrzą z napięciem na aparaty, dopiero na drugi sygnał Prokurator sięga niechętnie po słuchawkę jednego z telefonów, stojących na biurku; do Obrońcy)* Przepraszam... *(do słuchawki)* Hello!... Tak, Wayne... *(po chwili)* Tak, punktualnie o ósmej.. *(słucha, po chwili)* O, to prawie tak trudno jak wygrać własne buty... Nie, nic nie mogę... Niech pan pomówi z Morlnem, albo z Wollstonem, jeżeli który z nich ustąpi panu miejsca... Że co? Że prędzej własnej kochanki? Bardzo możliwe, niech pan przynajmniej tego spróbuje... O key, nie ma za co... *(odkłada słuchawkę).*

DYREKTOR: *(podczas rozmowy Prokuratora wstał, poszedł do półki z książkami, wyjął z niej niedużego formatu biblię, przerzuca kartki).*

PROKURATOR: *(do Obrońcy)* Mam słabość do dziennikarzy, ale dziś trudno z nimi mówić, po prostu wychodzą ze skóry.

OBROŃCA: *(zajęty własnymi myślami)* A — co do dzieci, mr. Wayne? Czy pan odmawia definitywnie?

PROKURATOR: Ależ, nie używajmy tego słowa do godziny ósmej wieczór! Do tego czasu nic nie jest definitywne, każdej chwili możemy się spodziewać. *(kładzie rękę na słuchawce „tego" telefonu)* radykalnego zwrotu w sytuacji... A co do dzieci — zobaczymy... Do ósmej jeszcze sporo czasu...

OBROŃCA: Cóż, postaram się na razie jakoś im wytłumaczyć.. Ale to jest nieludzkie, mr. Wayne!

PROKURATOR: A mnie się zdaje, panie obrońco, że w tej sprawie najbardziej nieludzcy są — ci ludzie! Tak, tych dwoje!

OBROŃCA: Nie rozumiem. Ma pan na myśli...

PROKURATOR: Ależ tak! Ich, oczywiście, pańskich klientów! Tę parę najdziwniejszych na świecie małżonków i jeszcze dziwniejszych rodziców! Oni chyba zupełnie nie kochają swoich dzieci! Niech mi pan wierzy, nigdy jeszcze w mojej praktyce nie zdarzyło mi się spotkać wśród przestępców ludzi równie bezdusznych — a przecież miewa się do czynienia z niejednym zwierzęciem...

OBROŃCA: Pańskie paradoksy, mr. Wayne, są przerażające, a wysłuchiwanie ich jest — daruje pan — najcięższym z moich obowiązków obrońcy i przyjaciela tych ludzi.

PROKURATOR: Och, ja wiem. W pańskich oczach są to szczególnie piękne egzemplarze człowieczeństwa. Ale niech mi pan powie, mr. Bloch, czy człowiek — prawdziwy, czujący po ludzku człowiek — może być tak bezwzględny wobec samego siebie i swoich najbliższych? Pan powie: siła moralna. A ja twierdzę: bezduszny fanatyzm, coś zupełnie nieludzkiego! To nie ludzie, to automaty!

OBROŃCA: Byłoby dziwne, gdyby pan, mr. Wayne, był w stanie pojąć tych ludzi. Wprawdzie do tego potrzebny jest bardzo prosty klucz, ale pan nie ma go w swojej kieszeni.

DYREKTOR *(odczytuje z biblii)* „Bijesz ich, ale ich nie boli; w niwecz ich obracasz, ale nie chcą przyjąć karania; zatwardzili oblicza swoje nad opokę, nie chcą się nawrócić"...

PROKURATOR: Co pan tam mruczy, Sheps?

DYREKTOR: To nie ja, to Jeremiasz w rozdziale 5. Mam taki zwyczaj, panowie, że jeśli kiedy staję wobec zagadek życia — sięgam po prostu po biblię.

OBROŃCA: My, prawnicy, sięgamy w takich wypadkach po konstytucję naszego państwa. Niestety, ten dokument staje się dziś w tym kraju bardziej anachroniczny niż biblia, chociaż jest od niej o kilka tysięcy lat młodszy!

PROKURATOR: Co do mnie, sięgam najchętniej w głąb swego sumienia. Zapewniam pana, mr. Bloch, że jest to sumienie dobrego Amerykanina-patrioty. Sprawiedliwość, moi panowie, nie jest sentymentalną abstrakcją, musi ona wypływać z twardych nakazów sumienia obywatelskiego. Sprawiedliwość to po prostu racja stanu, określana przez politykę rządu.

OBROŃCA: Tyle razy wymawia pan codziennie słowo „sprawiedliwość", czy chociaż raz byłby pan gotów oddać za sprawiedliwość — własne życie?

PROKURATOR: Moje życie? Ależ to właśnie byłoby niesprawiedliwe!

OBROŃCA: Powiedzmy inaczej: za „rację stanu"? Czy byłby pan gotów oddać życie za to, co pan nazywa „racją stanu"? Krótko mówiąc — za coś, w co pan wierzy?

PROKURATOR: Mr. Bloch, nie wyobrażam sobie sytuacji, która by tego wymagała!

DYREKTOR *(ze śmiechem)* Ja także!

OBROŃCA: Mówiłem, że brakuje panu wyobraźni. No, ale gdyby jednak?

PROKURATOR: *(ucina śmiech, patrzy badawczo na Obrońcę, po chwili, brutalnie)* Panie obrońco myślę, że robię wszystko, żeby nie znaleźć się nigdy w takiej sytuacji! Czy panu to wystarczy?

OBROŃCA: Najzupełniej. Jest pan szachistą, który dostając mata przewraca figury i szachownicę rozbija na głowie partnera.

PROKURATOR: Niestety, mr. Bloch, wymiar sprawiedliwości nie jest grą w szachy, to walka na śmierć i życie.

OBROŃCA: W takim razie ani pan, ani ja nie jesteśmy potrzebni w tym kraju. Wystarczą zwykli oprawcy. I w takim razie, daruje pan, nie bardzo rozumiem, dlaczego pan tu siedzi, przy tym telefonie? Przecież zrobiono już wszystko, żeby tych ludzi zamordować...

PROKURATOR: Pańskie zdziwienie jest dość dziwne, jak na obrońcę tych ludzi. Czy to tak trudno zrozumieć, że ich śmierć nie jest tym, czego najbardziej potrzebujemy? Pragniemy od nich znacznie mniej...

OBROŃCA: Oni są zdania, że to „mniej" oznacza zbyt dużo, nie do przyjęcia za dużo! Nie chcą wykupić życia za cenę, która panu wydaje się śmiesznie niska, a im, przeciwnie... *(urywa)*

(dzwoni telefon, wszyscy trzej reagują jak za poprzednim razem, po drugim sygnale Prokurator podnosi słuchawkę drugiego z aparatów stojących na biurku)

PROKURATOR: *(do telefonu)* Wayne... Aa, hello, Jessie... *(słucha, po chwili)* Ależ skarbie, pęknę z zazdrości... Niestety, ani na chwilę... Nie, nie, nie... *(po chwili)* A, to tak... Oczywiście, jeżeli tylko chcesz... Nic trudnego, pokażą ci... Dobrze, czekam... *(odkłada słuchawkę)*

OBROŃCA: *(wstał, bierze swoją tekę)* Tak, na mnie czas.

DYREKTOR: Zarządzenie już wydane. Szef dozorców, Bentley, czeka na pana w korytarzu...

PROKURATOR: Więc niechże pan pamięta, mr. Bloch, trzeba w tych ludziach obudzić ludzkie uczucia... jakiś okruch litości nad sobą, nad własnymi dziećmi... Któż, jeśli nie pan, ich obrońca, ich przyjaciel...

OBROŃCA: *(ostro)* Panie prokuratorze, proszę nie mówić do mnie w ten sposób! Proszę mnie nie pouczać o obowiązkach przyjaźni. *(z bólem)* Ja tych ludzi kocham jak brata i siostrę, ich życie jest mi drogie jak moje własne... pan dobrze wie, ile robiłem, żeby je uratować, wszystko, co było możliwe... *(z siłą)* Tak, wszystko z wyjątkiem tego, co mogłoby mnie pozbawić ich przyjaźni, ich szacunku... Ale, niech mi pan wierzy, mnie łatwiej pogodzić się nawet z ich śmiercią, niż panu z czystością ich życia! *(lekki ukłon, odwraca się, idzie ku drzwiom)*

(dzwoni telefon; Obrońca z ręką na klamce drzwi odruchowo zatrzymuje się; wszyscy trzej patrzą z napięciem na aparaty)

Rys. Jerzy Tchórzewski

PROKURATOR: *(na drugi sygnał powoli wyciąga rękę, kładzie ją na słuchawce „tego" telefonu)*

DYREKTOR: *(gwałtownie rzuca się do stolika z telefonem, opiera się na nim oburącz, nachylony w oczekiwaniu, wpatrzony w twarz Prokuratora)*

(telefon dzwoni po raz trzeci)

PROKURATOR: *(bardzo powolnym ruchem zdejmuje słuchawkę, a wzrok przenosi na Obrońcę, przygląda mu się z uwagą)*

OBROŃCA: *(pod brutalnym spojrzeniem Prokuratora miesza się, odwraca oczy, spuszcza głowę nisko na piersi)*

PROKURATOR: *(do telefonu).* Tak, Wayne... Bardzo mi miło słyszeć pański głos... *(słucha)* No więc, śmiało. Cóż pragnie mi pan powiedzieć? *(niecierpliwie)* Słucham, słucham... *(po dłuższej chwili)* Ach, tylko tyle? *(słucha jeszcze przez chwilę, po czym powoli odejmuje słuchawkę od ucha, przygląda się jej i spokojnym, opanowanym ruchem kładzie na aparat)*

DYREKTOR: No i co? Co?

PROKURATOR: *(z nieznacznym uśmiechem, prawie obojętnie)* Nie, jeszcze n i e t o.

OBROŃCA: *(pod wrażeniem, raczej sam do siebie)* Ale dlaczego? Dlaczego?

PROKURATOR: *(patrząc na niego ironicznie)* Co — dlaczego?

OBROŃCA: To był naprawdę — on?

PROKURATOR: A pan spodziewał się, że — raczej ona?

DYREKTOR: Ale co, Wayne, co powiedział?

PROKURATOR: Radził mi, żebym nie czekał na próżno... tak się wyraził: „na próżno" *(do Obrońcy)* A pan już myślał, mr. Bloch, że... ale co panu? Pan jest po prostu przerażony!

OBROŃCA *(opanowując się)* Co pan zamierza robić dalej?

PROKURATOR: Ja? To samo. Niech pan im powie, że mimo wszystko będę tu czekał aż do ósmej. I proszę dodać, że wcale nie czuję się urażony... A swoją drogą, dziwny, dziwny z pana obrońca! Przestraszył się pan, że jego klient robi głupstwo i r a t u j e s w o j e ż y c i e!

OBROŃCA: *(podchodzi blisko do Prokuratora, mówi mu w twarz)* Mr. Wayne, przez takich jak pan wstydzę się, że jestem Amerykaninem! *)* *(odwraca się, wychodzi)*

PROKURATOR: *(zerwał się, patrzy z wściekłością za wychodzącym, po jego wyjściu chwyta ołówek, rzuca nim o biurko, przechodzi do stolika z napojami, nalewa sobie whisky, wypija)*

DYREKTOR: Wayne, pan jednak umie wybijać ludziom zdrowe zęby!

PROKURATOR: On, on się wstydzi być Amerykaninem! Lubię takich! *(rozwala się w fotelu, nalewa znowu, pije)* Ale widziałeś, Sheps, on się naprawdę przestraszył!

DYREKTOR: A ja już byłem pewny, że mój Jeremiasz nie miał racji...

PROKURATOR: Co? Ach, ten... Daj spokój Jeremiaszowi. *(patrzy na zegarek)* Czwarta za piętnaście. Jednak to już blisko dwie godziny...

DYREKTOR: Na razie złapał pan gola i oni prowadzą jeden—zero...

PROKURATOR: Pan się myli, Sheps. To jest punkt dla mnie. Często mówi się „nie", żeby za chwilę powiedzieć „tak"! Najgorsze byłoby zupełne milczenie, obojętność, brak reakcji. Cóż, niech się jeszcze pomęczą — ja wytrzymam! *(nalewa, wypija)*

DYREKTOR: Swoją drogą, cóż to za ludzie! Rozumiałbym, gdyby naprawdę byli komunistami...

PROKURATOR: *(drwiąco)* Pan w to wątpi? Bo ja wiem na pewno: to nie są komuniści.

DYREKTOR: No więc właśnie. Modlą się, biorą udział w praktykach religijnych...

PROKURATOR: Właśnie o takich chodzi. Komunistów możemy unieszkodliwić każdej chwili i dowolnymi środkami. Rzeczywiste niebezpieczeństwo stanowią ci, którzy słuchają komunistów, popierają ich, biorą ich hasła za swoje. Takich, niestety, jest u nas bardzo dużo. Im właśnie trzeba pogrozić ostrzec ich, zawrócić z drogi...

DYREKTOR: Tak, to jasne, to się rozumie. *(idzie ku drzwiom)* Pójdę zobaczyć, jak idą przygotowania. Elektrotechnicy już są.. A dziennikarzy każę zebrać w naszym klubie, oczywiście z wyjątkiem tych trzech, którzy mają asystować przy straceniu... Między nami mówiąc, to hołota... węszą jak psy...

PROKURATOR: Pan ich nie docenia, Sheps. Ich maszyny do pisania często znaczą więcej niż karabiny maszynowe. Niech pan to zapamięta: przeciętny amerykański dziennikarz oszczędza nam co najmniej stu policjantów — nie, co ja mówię? To są wielkości zupełnie nie-po-rów-ny-wal-ne!

DYREKTOR: Jeżeli mam być szczery, mr. Wayne, wolę już z w y k ł y c h policjantów. Oni przynajmniej nie uważają się za coś lepszego.

(pukanie, wchodzi JESSIE, sportowo ubrana, Dyrektor przepuściwszy ją z ukłonem wychodzi)

JESSIE: Hello, Bob! Myślałam, że chociaż z pół godziny pogramy w tennisa...

PROKURATOR: Ani mowy, Jessie. Napijesz się?

JESSIE: *(siadając)* Owszem, Martini.

PROKURATOR: *(nalewa wermut)* Domyślam się, że Dick z radością zastąpi mnie na korcie...

JESSIE: To jasne. Zostawiłam go przed bramą. Powiedział, że ma już dosyć tych Rosenbergów i że ten wasz d o m ś m i e r c i na pewno cuchnie spalonymi kaloszami. Naturalnie, powiem mu, że się myli, bo tu jest raczej zapach pralni — nie mówię, oczywiście, o tym gabinecie, tylko w ogóle... *(innym tonem, ciszej)* No i co? To już dzisiaj? Robicie koniec?

PROKURATOR: Tak, o ósmej. *(z naciskiem)* O ile nie nastąpi sensacyjny zwrot...

JESSIE: Masz tobie! Jeszcze coś może się zmienić? Co wy robicie z tymi ludźmi? Ja na ich miejscu już dawno bym zwariowała!

PROKURATOR: Ach, ty! Ty na ich miejscu poddałabyś się od razu — i w dodatku zrobiłabyś to tak czarująco, że ja pierwszy złożyłbym dymisję.

JESSIE: No pewnie. Zupełnie nie mogę pojąć, dlaczego oni tak się upierają? Rozumiałabym, gdyby byli niewinni — ale, jeżeli są naprawdę winni, to dlaczego mają umrzeć?

PROKURATOR *(hamując śmiech)* Przepraszam cię, jak powiedziałaś?

JESSIE: Przecież są winni, tak? Czyli w porządku: mogą zrobić tak jak ten Greenglas: przyznać się i ocalić życie Ewentualnie wskazać jeszcze innych winowajców — tak jak ten Greenglas... Zdaje się, że o to głównie chodzi? Chyba... chyba, że są niewinni — a, to zupełnie co innego. Sytuacja naprawdę bez wyjścia... Bo przecież muszą być winni, to znaczy — powinni być winni, nie? Inaczej nie trzymalibyście ich za kratą... sama już nie wiem! Nalej mi jeszcze wermutu.

PROKURATOR *(nalewając)* Czy wiesz, Jessie, co to jest racja stanu?

JESSIE: Mniej więcej. Coś w rodzaju bardzo wymagającej starszej damy. Czy to ona upatrzyła sobie tych Rosenbergów?

PROKURATOR: Nie, raczej chodzi o to, że oni nie raczą jej dostrzegać. Nie chcą dopomóc rządowi, który reprezentuje rację stanu. To jest właściwie ich największa wina.

JESSIE: Mówiłeś zawsze, że szpiegostwo atomowe...

PROKURATOR: To inna sprawa. O coś musieli być oskarżeni. A zresztą — to nie my, to ten Greenglas ich oskarżył. O, widzisz, Greenglas! Drobne, tchórzliwe zwierzę... A jednak nawet on zrozumiał rację stanu!

JESSIE: Ludzie mówią, że to skończony łotr, kupił życie za własną siostrę...

PROKURATOR: Zapewne, jeśli to można nazwać życiem... Tymczasem oni uroili sobie, że są jakimiś wyjątkowymi ludźmi, którzy mają prawo zachowywać się jak bohaterowie greckiej tragedii! Pomyśl, takie zachcianki dzisiaj, w epoce atomowej!

JESSIE: Czyli po prostu chcą być sławni? Są w takim razie bardziej zarozumiali niż niezrozumiali... A jednak, trochę mi ich żal... Tacy młodzi i podobno bardzo w sobie zakochani... No, i te dzieci... Na twoim miejscu wolałabym nie mieć z tym wszystkim do czynienia...

PROKURATOR: Ależ, koledzy mi zazdroszczą!

JESSIE: Nie śmiej się, jeśli powiem głupstwo, ale.. tak sobie teraz myślę, że świat by się nie zawalił, gdyby przynajmniej jedno z nich zostało ułaskawione.. To znaczy, oczywiście, o n a... Ostatecznie, w tylu sprawach okazujecie względy dla kobiet... To nawet zrobiłoby dobre wrażenie na ludziach... Są tacy, którzy uważają, że nie powinno się małoletnich dzieci pozbawiać na raz obojga rodziców... Jak myślisz, Bob, czy nie mam trochę racji?

PROKURATOR: *(podchodzi, całuje ją w kark)* Jesteś uroczym głuptaskiem, Jessie. A poza tym, radzę ci nie obnosić się z tego rodzaju myślami.

JESSIE: Ależ ja tylko do ciebie — i prosiłam cię, żebyś się nie śmiał jeśli powiem głupstwo... Z punktu widzenia racji stanu na pewno to jest głupstwo, ale — wierz mi — ludziom przyniosłoby to pewną ulgę... *(wstaje)* No więc co? Nie wyjdziesz na pół godziny?

PROKURATOR: Nie, nie mogę.

JESSIE: Nie widzę, żebyś miał coś pilnego do roboty.

PROKURATOR: Nie. Ale czekam.

JESSIE: Na co?

PROKURATOR: Jeżeli się doczekam, powiem ci o tym przy dobrej kolacji, na którą cię wtedy zaproszę.

JESSIE: Nie chcę żadnego „jeżeli" i dlatego w każdym razie zapewnię sobie na wieczór towarzystwo Dicka.

PROKURATOR: Zrób jak uważasz... Kto wie zresztą, może się zdarzyć, że będę dziś zajęty do późnej nocy...

JESSIE: Wciąż tym „czekaniem"?

PROKURATOR: Nie śmiej się. Gdybyś wiedziała, o co chodzi, czekałabyś razem ze mną. Chociaż kto wie? Nie masz w sobie ani trochę politycznej namiętności... *(serio)* A tu się toczy duża gra!

JESSIE: Zaciekawiasz mnie. Ale co będzie, jeżeli się nie doczekasz?

PROKURATOR: O, wtedy skończymy grę w ciągu kilku minut. Dwie figurki zlecą z szachownicy, a świat zrozumie, że... *(podnosi zaciśniętą pięść)*

DYREKTOR: *(wchodzi szybko)* Mr. Wayne, czy nie mówiłem, że ci dziennikarze to hołota? Niech pan sobie wyobrazi, zaczęli już robić zakłady!

PROKURATOR: O co?

DYREKTOR: No, o dzisiejszych delikwentów. Czy się w ostatniej chwili załamią, czy też będą milczeć aż do końca?

PROKURATOR: No więc cóż z tego? Oni się zakładają przy każdej okazji.

JESSIE: Bob, czy to jest to, na co ty czekasz?

PROKURATOR: Tak, ja i jeszcze wielu innych.

DYREKTOR: A inni po prostu grają w karty...

PROKURATOR: Jacy inni?

DYREKTOR: No ci, dziennikarze. Jedni robią zakłady, a drudzy grają w karty

JESSIE: Hello, Bob, to ja już pójdę *(pożegnalnie machnąwszy ręką idzie do drzwi, otwiera je i cofa się: stoi przed nimi w korytarzu 10-letni Michael, trzymając za rękę 6-letniego Roberta. Prokurator i Dyrektor odwracają się, patrzą na chłopców zdziwieni)*

MICHAEL: *(ciągnąc za sobą brata wchodzi niepewnie, przygląda się obecnym, zatrzymuje się przed stojącym bliżej drzwi Dyrektorem)* Przepraszam, czy któryś z panów jest panem prokuratorem?

DYREKTOR: Tak, ale to nie ja, chłopcze, to ten pan..

PROKURATOR. *(starając się o „właściwy" ton)* No więc, przypuśćmy, że to ja... cóż chciałbyś mi powiedzieć, Michael?

MICHAEL: Pan mnie zna?

PROKURATOR: Bardziej niż ci cię zdaje.

MICHAEL: To dobrze. Bo my właśnie... to jest mój brat, Robert... Stój tutaj, Robby... *(puszcza Roberta, bierze za rękę Prokuratora, lekko odciąga go w bok, do przodu; ściszonym głosem)* Chcemy pana prosić, żeby nam pan pozwolił zobaczyć się z naszymi rodzicami...

PROKURATOR: *(klepiąc go po ramieniu)* Wiem, wiem, słyszałem, że tu jesteście...

MICHAEL: Czekamy już dosyć długo Musimy się z nimi zobaczyć... Panu Blochowi przecież pan pozwolił... Przynieśliśmy im trochę kwiatów, są w umywalni, włożyłem, żeby były świeże...

PROKURATOR: To bardzo ładnie, Michael, że pamiętaliście o kwiatach. Ale musicie jeszcze cokolwiek poczekać. Pan Bloch ma ważne sprawy do omówienia z waszymi rodzicami.

MICHAEL: On też nam tak powiedział, ale dorosłym się zdaje, że tylko oni mają ważne sprawy... A my z Robertem tymczasem czekamy i czekamy...

PROKURATOR: No dobrze, poczekajcie jeszcze trochę. Sheps, niech pan ich weźmie do klubu i zafunduje duże porcje poziomkowych lodów... a może wolicie czekoladowe,

JESSIE: *(przenikliwie)* Bob!

PROKURATOR: *(spokojnie)* Co, Jessie?

JESSIE: Ach, nic, nic! *(odwraca się, siada na poręczy fotela, tyłem do wszystkich)*

DYREKTOR: *(bierze Roberta za rękę)* Chodźcie, chłopcy... *(podchodzi do Michaela, bierze go za rękę)*

MICHAEL *(do Prokuratora)* Ale pan nie zapomni, że czekamy?

DYREKTOR: *(prowadząc chłopców do wyjścia)* Musicie wiedzieć, że u nas lody są naprawdę doskonałe... *(wychodzą)*

PROKURATOR: *(idzie szybko do stolika z napojami, nalewa, wypija, przez chwilę obserwuje siedzącą nieruchomo Jessie, po czym przechodzi za biurko, staje obok stolika z „tym" telefonem, wpatruje się w aparat bębniąc palcami po słuchawce)*

(ściemnienie)

Leon Kruczkowski

) Autentyczne słowa Emanuela Blocha (p.a.).

EDWARD HOŁDA

Akacja

To może ni w pięć ni w dziewięć,
tak zrzędzić... Cóż poczniesz, skoroś
potknął się, idąc, na gniewie
i kliniesz, bo diabli cię biorą:

Ja bym się nie dał, akacjo,
ja bym odpłacił mu za to:
kolcami w twarz bym go zaciął,
pięść podbił, wyrwał sekator,
w konary wziął — tam i nazad
nad brukiem pochwiał przez chwilę,
i te gałązki pokazał
leżące w ulicznym pyle.

Ta oto by śpiewem była
niewyczerpanym jak gama.
Ta znowu — w skwar by chłodziła,

A tyś to wszystko połamał.

Zaś ta — byłaby radością,
śmiech dzieci miałaby w pieczy.
Ta — karą. Ta — przezornością.

A tyś to wszystko zniweczył.

Zniszczyłeś niedoszłe pędy,
a mogłeś wiośnie przewodzić.

Prosiłoż drzewo o względy?

Tyś nie ogrodnik, tyś złodziej.

Patrz — liście, czerwcowe liście,
krzywa zieleni się kula.

To nie w zieloność — we wstyd się
akacia opatula.

Borys Grekow

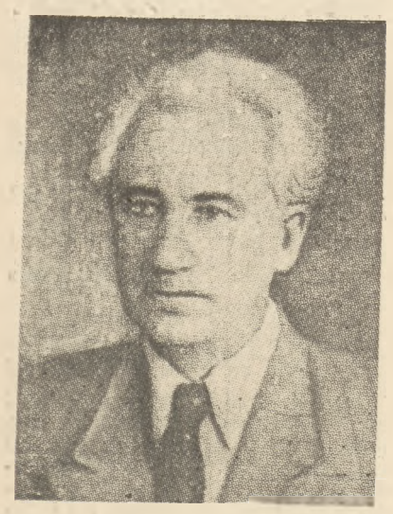

Borys Grekow

Nauka światowa, w szczególności zaś radziecka nauka historyczna poniosła niepowetowaną stratę ze śmiercią znakomitego mediewisty — Borysa Dmitriewicza Grekowa. Należał on do rzędu uczonych zażywających autorytetu w skali międzynarodowej. Członek Akademii Nauk ZSRR, sekretarz jej Wydziału Historyczno-Filozoficznego, dyrektor Instytutu Historii, autor prac, których bibliografia zestawiona w niedawno wydanej dla uczczenia jego 70-lecia księdze pamiątkowej liczy 200 pozycji, był czołowym historykiem i chlubą nauki radzieckiej.

Wśród prac Grekowa są pozycje o fundamentalnym znaczeniu. Charakter syntez zawierających zsumowanie długoletniej pracy badawczej mają dwa przede wszystkim dzieła: „Ruś Kijowska" i „Chłopi na Rusi od czasów najdawniejszych do połowy XVII wieku".

Pierwsza z nich daje obraz gospodarczego, społecznego, politycznego i kulturalnego życia społeczeństwa staroruskiego w okresie wczesnofeudalnym. W tym właśnie dziele rozwinął Grekow i uzasadnił tezę o bezpośrednim przejściu Słowian wschodnich od ustroju wspólnoty pierwotnej do feudalizmu, z ominięciem formacji niewolnictwa. Teza jego brzmiała, że „wspólnota będąca ostoją włościaństwa, w konsekwencji nie pozwoliła niewolnikowi stać się podstawą wytwórczości na Rusi". Obalając ostatecznie teorię normańską dowiódł Grekow, że Słowianie wschodni ze swą gospodarką rolną i wysoką kulturą sami byli w stanie stworzyć organizację państwową. Co więcej, jak trafnie stwierdzono we wspomnianej księdze pamiątkowej Grekow określił znaczenie dawnej Rusi w dziejach narodu rosyjskiego, ukraińskiego i białoruskiego — jako ich kolebki.

Dzięki historykom radzieckim, a wśród nich w pierwszym rzędzie dzięki Grekowowi—początki feudalizacji stosunków na obszarach zajętych przez Słowian datujemy dziś od połowy pierwszego tysiąclecia naszej ery i poprzez pierwsze słowiańskie związki polityczne śnujemy wątek procesu rozwojowego do utworzenia państwa kijowskiego. Dany został niezwzruszony dowód, że „naród rosyjski, wystąpiwszy na widownię dziejową w VI wieku n. e., okazał się dostatecznie silny i zorganizowany, aby zachować swe oblicze, ująć swą egzystencję w Europie w formę państwową, określić swoje poczesne miejsce w historii Europy i tym samym wytyczyć i zapewnić drogi dla swego dalszego rozwoju".

Jest to teza w historiografii na wskroś emancypacyjna, oznaczająca radykalną rewizję w stosunku do poglądów tradycyjnej nauki historycznej w ogóle, w szczególności zaś w stosunku do tzw. okcydentalizmu, który ustanawiał jako niewzruszalną zasadę prymat Zachodu nad Wschodem w kształtowaniu się zjawisk o ogólnodziejowym znaczeniu. M. i dzięki B. D. Grekowowi mógł z uzasadnioną dumą stwierdzić akad. Eugeniusz Kosminski, również znany mediewista radziecki, że „innymi oczami zaczęliśmy patrzeć na rolę historyczną narodów słowiańskich, której nie uznawali i którą przemilczali historycy Zachodu. Zbadanie dawnej kultury narodów słowiańskich, wczesnego powstawania u nich feudalizmu i instytucji politycznych, ich znaczenia w dziejach Wschodniego Imperium Rzymskiego, historycznej roli ich walki z agresją idącą zarówno ze wschodu, jak z zachodu — pozwoli nam stworzyć nową syntetyczną koncepcję historii średniowiecza".

Rewizji poglądów, zakrojonej bardzo szeroko, dokonał Grekow dzięki marksistowskiej metodologii, którą od wielu lat sobie przyswoił i w mistrzowski sposób stosował. Z nią jak z ożywczym źródłem łączyła się jego inwencja i świeżość interpretacji. W tej swojej rewizji uczynił Grekow bardzo wiele dla oczyszczenia pola nie tylko z tendencyjnych wykrzywień reakcyjnej historiografii ziemiańsko-burżuazyjnej, lecz również z błędnych koncepcji historycznych M. Pokrowskiego.

Doskonale panując nad materiałem faktograficznym, znawca źródeł, do których nikt inny nie dotarł, umiał z nich wnikliwie wydobyć prawdę i oświetlić zarówno mroki dziejowe Rusi Kijowskiej, jak historię chłopów na Rusi w epoce feudalizmu. Śmiało stosował metodę porównawczą, poświęcając wiele trudu badaniom pomników prawa narodów słowiańskich: „Prawdy Ruskiej", „Statutu Winodolskiego" i „Statutu Polickiego" — źródeł podniowo - słowiańskich, „Statutu Wiślickiego" oraz „Księgi Elbląskiej", której poświęcał uwagę w ostatnich latach swego życia (nazywał ją „Prawdą Polską"). Pozostawił po sobie jako jedno z zasadniczych zaleceń metodologicznych — zgodnie z wskazaniami Józefa Stalina — postulat stosowania metody porównawczej w badaniach historycznych, w szczególności zaś w badaniach nad dziejami Słowiańszczyzny. „Główną zasadę — mówił na konferencji historyków polskich w Otwocku — polegającą na ujawnieniu prawidłowości w dziejach społeczeństw ludzkich, można rzeczywiście zachować tylko wtedy, gdy będziemy badać dzieje każdego społeczeństwa w sposób porównawczy".

W dziedzinie twórczo rozwijanej metodologii ma B. D. Grekow w swym dorobku również osobne prace: „Lenin i nauka historyczna" (1944), „J. W. Stalin i nauka historyczna" (1950) i „Geneza feudalizmu w Rosji w świetle prac J. W. Stalina o zagadnieniach językoznawstwa" (1951).

Krąg swych badań rozszerzył Grekow daleko poza ramy spraw objętych dziełami: „Ruś Kijowska" i „Chłopi na Rusi", zarówno w sensie tematycznym, jak chronologicznym. Wespół z A. Jakubowskim ogłosił pracę pt. „Złota Orda i jej upadek", pisał o manufakturze pańszczyźnianej w Rosji, uprawiał historię dziejopisarstwa rosyjskiego dając prace i szkice, np. o Łomonosowie.

Wybitną działalność rozwinął Grekow jako wydawca źródeł uczestnicząc osobiście w pracy edytorskiej. W dorobku tym na pierwszy plan wysuwa się wydanie „Prawdy Ruskiej", latopisów pskowskich, Kroniki Henryka Łotysza, materiałów do historii gospodarki feudalno-pańszczyźnianej.

Nie podobna zamknąć szkicu mającego dać sylwetkę wielkiego uczonego bez wzmianki o jego udziale w akademickim podręczniku — „Historia ZSRR", w którego tomie pierwszym kilka rozdziałów pochodzi z jego pióra, a cały tom został przezeń zredagowany. Przekład polski tego podręcznika ukaże się niebawem w druku i stanowić będzie bezcenną pomoc dla naszych studentów wyższych uczelni w zaznajamianiu się z historią narodów Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

B. D. Grekow łączył z zaletami niepospolitego uczonego niezwykłe cechy osobiste, które zjednywały mu szacunek i mir wśród uczonych. Polski świat naukowy znał go dobrze z kilkakrotnego pobytu w Polsce, który doprowadził do zawiązania węzłów szczerej sympatii i serdecznych stosunków wzajemnych. Nie będzie przesadą, jeżeli nazwiemy Borysa Dmitriewicza Grekowa ambasadorem radzieckiej nauki historycznej w Polsce Ludowej. Miał do tego pierwszorzędne warunki z racji swoich prac, w których wielokrotnie traktował zagadnienia doniosłe dla naszej historiografii, bądź bezpośrednio z nią związane.

Do współpracy radzieckich historyków z polskimi on, który piastował m. in godność członka Polskiej Akademii, przywiązywał ogromną wagę. Jako przewodniczący delegacji uczonych radzieckich na konferencję metodologiczną historyków polskich — wyrażał głęboką wiarę, że „to robocze spotkanie będzie owocne dla nas wszystkich, że będzie ono początkiem naszych systematycznych spotkań i że współpraca ta stanowi rękojmię dalszego naszego rozwoju, dalszych sukcesów w zakresie nauki".

Był uczonym, którego związek z życiem przenikał całą jego pracę. Jego dzieła pulsują tętnem spraw związanych integralnie z walką o zwycięstwo idei postępu społecznego, reprezentowanego przez klasę robotniczą. Realizował w swych pracach zasadę partyjności nauki. Pełnił zaszczytne funkcje społeczne. Był deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR, aktywnym uczestnikiem Ruchu Pokoju, wiceprezesem radzieckiego Komitetu Obrońców Pokoju. Nosił najwyższe odznaczenia państwowe i był trzykrotnie laureatem nagrody Stalinowskiej.

Uczony i społecznik ujmował wyznanie politycznej wiary — swojej i mas pracujących ludzi, których pożytkowi oddał swe pracowite i owocne życie — w skromnych lecz tym bardziej wymownych słowach: „Wszyscy chcemy, by pokój triumfował na całym świecie... Naród radziecki umie bić się, nie boi się wojny, nie prosi o pokój, lecz walczy o pokój i demokratyczny byt milionów prostych ludzi".

Józef Sieradzki

W sprawie wiersza Woroszylskiego

W 36 nr Waszego pisma ukazał się wiersz tow. W. Woroszylskiego pt. „Spotkanie w łaźni".

Towarzysz Woroszylski chciał, jak przypuszczamy, pokazać, że w społeczeństwie socjalistycznym człowiek, którego spotkało nieszczęście, nie jest samotny. W istocie jednak, wiersz mówi zupełnie co innego, odsłaniając dla czytelnika znającego dotychczasową poezję Woroszylskiego nieoczekiwane grubiaństwo uczuć. Zdumiewa nas, że widok człowieka okaleczonego przez wojnę może być dla poety okazją do wyrażenia własnego radosnego nastroju i pochwały życia w socjalizmie. Sądzimy, że takie postawienie sprawy jest ze strony towarzysza Woroszylskiego błędem. Wymowa wiersza jest antyhumanistyczna, wywołując w czytelniku uczucia oburzenia i niesmaku, spotęgowane nadmiarem naturalistycznych przenośni i zwrotów, w rodzaju „łodzi ze strzaskanymi wiosłami" na określenie okaleczonego ludzkiego ciała. Nie przydaje także wdzięku sytuacji opisanej w wierszu z humorem wątpliwej wartości, informacja o tym, że autor myje się raz na tydzień.

Wydaje się nam, że redakcja zamieszczając ten wiersz, popełniła błąd i zaszkodziła także towarzyszowi Woroszylskiemu.

Alina Osiadacz, Michał Redgowski, Krystyna Sokołówna, Jerzy Szacki, Adam Sikora, Roman Zimand, Jerzy Kossak, Lucyna Tych

*

Redakcja „Nowej Kultury" umożliwiła mi zapoznanie się z nadesłanym przez grupę czytelników listem w sprawie wiersza „Spotkanie w łaźni". Autorzy listu zarzucają mi „nieoczekiwane grubiaństwo uczuć". Nie zamierzam w odpowiedzi zastanawiać się nad stopniem subtelności uczuć moich polemistów. Jeżeli w ogóle zabieram głos w związku z utworem, tak dowcipnie potępionym przez ośmiu towarzyszy, czynię to dlatego, że pewnie nie tylko mnie dotyczące aspekty całej sprawy wzbudziły moje szczere zaniepokojenie. Chodzi o pewne przesłanki, dające się odczytać w liście czytelników, z których część, jak mi wiadomo, studiuje estetykę marksistowską i uprawia od czasu do czasu krytykę literacką.

Niech mi będzie wolno streścić fabułę zaatakowanego wiersza „własnymi słowami". Narrator spotyka w moskiewskiej łaźni trzech przyjaciół, z których jeden nie ma nóg i został tu przeniesiony przez dwóch pozostałych. Kalectwo to daje się dostrzec nie od razu, gdyż przyjaciele zachowują się w sposób naturalny, są zwyczajnie po ludzku weseli, żadnym gestem nie podkreślają wyjątkowości sytuacji. W beznogim nie ma nic z cierpiętnictwa, z poczucia, że jest komukolwiek ciężarem, w jego przyjaciołach — z natrętnego „poświęcania się". Narrator (podmiot liryczny) jest wzruszony tą prostotą człowieczego męstwa i przyjaźni. Przychodzi mu na myśl, że w krajach kapitalistycznych okaleczony na froncie żołnierz nie mógłby w podobny sposób powrócić do normalnego życia, zaś w kraju socjalizmu epizody o podobnej wymowie noszą charakter typowy. Oto cała fabuła wiersza, zawierająca także jego dość przystępną, jak sądzę, filozofię.

Co wzbudziło w autorach listu „uczucia oburzenia i niesmaku"?

Oczywiście, nie wniosek ogólny, mówiący — tu upraszczam — o wyższości ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym. Chodzi o przykład, za pomocą którego tę prawdę unaoczniono. Gdyby ten przykład zastąpiła abstrakcyjna deklaracja, nie byłoby się o co spierać. Albo statyczny opis, dajmy na to, pięknej budowli, szumiącego pełnymi kłosami pola, potężnych maszyn — to wszystko też by uszło. Sądzę nawet, że wybaczonoby mi wprowadzenie do wiersza losu ludzkiego, byleby nie zawierał on ziarna tragizmu, byleby był równy, gładki i podobny jak dwie krople wody do tych, o których się czytało w tysiącu szablonowych wierszy i reportaży. A tu — poeta ośmielił się pokazać wielkość i piękno socjalizmu poprzez los człowieka, który przeżywa cierpienie tragizmu! To się nie mieści w estetyce autorów listu. Mniemam wszakże (i upewnia mnie w tym m. in. „Szczęście" Pawlenki), iż w estetyce marksistowskiej mieści się to najzupełniej.

Przyjmijmy zresztą, że i wprowadzenie tego typu losu ludzkiego nie raziłoby moich oponentów. Razi ich co innego: miejsce akcji — łaźnia, oraz sposób zachowania się bohaterów. Ach, gdybyż beznogi kombatant np. na zebraniu, na tle purpurowych kotar wygłaszał jakieś podniosłe zdania. A tu:

„Parskali,
chlupali,
spływali pianą,
i dowcip ich też się pienił —
taki,
którego nie radziłbym pannom
słuchać
w zbytnim skupieniu..."

To „humor wątpliwej wartości", to „nadmiar naturalistycznych zwrotów", orzekają autorzy listu. To nie mieści się w ich pojęciach o realizmie. Mniemam (i upewnia mnie w tym m. in. Engels, gdy omawia utwory Weertha), że w rzeczywistości mieści się to w realizmie najzupełniej.

Przyjmijmy wreszcie taki wariant, że dopuszczalne są wszystkie elementy mojego wiersza, niedopuszczalne jest tylko przeprowadzenie z a i c h p o ś r e d n i c t w e m wniosku o p t y m i s t y c z n e g o, afirmującego przedstawianą rzeczywistość. Posłużyć się motywem kalectwa wolno tylko po to, by litować się nad ofiarami wojny, mowy zaś nie ma o posłużeniu się nim dla pokazania np. zdrowej psychiki radzieckiego człowieka. Zasada, że kalectwo winno po wsze czasy i we wszystkich ustrojach wywoływać jedynie zautomatyzowany odruch litości, mieści się w humanizmie autorów listu. Mniemam (i upewnia mnie w tym m. in. książka Wandy Wasilewskiej „Po prostu miłość"), iż w humanizmie socjalistycznym nie da się podobnej zasady umieścić w żaden sposób.

Nie zostałem przekonany, że mój wiersz jest „błędem". Nie zostałem przekonany, że mam na przyszłość unikać pokazywania drastycznych sytuacji, że mam optymizm wydobywać jedynie z sytuacji łatwych, obojętnych, „ładnych" lub z natury rzeczy przyjemnych, jak zakup lodówki elektrycznej czy spotkanie po pracy chłopca i dziewczyny. Nikt mnie do takiego ograniczenia nie namówi. Będę opisywał świat tak, jak go widzę, będę się starał odzwierciedlać psychikę nowych ludzi naszej epoki i w t a k i c h s y t u a c j a c h, do których przedsocjalistyczna poezja nas nie przyzwyczaiła, a które są prawdziwe i, moim zdaniem, znacznie piękniejsze od prostackich schematów, ukochanych przez pewien — oby jak najrzadszy u nas — typ krytyków.

Chcę na zakończenie dodać, że wszystkie moje uwagi o „Spotkaniu w łaźni" dotyczą wyłącznie koncepcji ideowo-tematycznej wiersza oraz pewnych zasad estetycznych, które starałem się w tym utworze, podobnie jak w innych, realizować. Daleki jestem natomiast od wypowiadania jakichkolwiek zdań na temat wiersza jako c a ł o ś c i a r t y s t y c z n e j. Niestety, wiem aż za dobrze, jak często gotowy kształt artystyczny pozostaje w tyle za uczuciem i myślą autora. Czy tak jest i tym razem? Sądzę, że zdołam odpowiedzieć na to dopiero za jakiś czas. Jestem wdzięczny redakcji „Nowej Kultury", że, mimo różnicy zdań w łonie samego zespołu, zdecydowała się umożliwić konfrontację wiersza z opinią czytelników.

Wiktor Woroszylski

*

List grupy czytelników z IKKN nie był odosobnioną reakcją na zamieszczenie przez „Nową Kulturę" wiersza W. Woroszylskiego pt. „Spotkanie w łaźni". Redakcja wyjaśnia, że „Spotkanie w łaźni" należy do cyklu „wierszy moskiewskich", które „Nowa Kultura" opublikowała w jednym z poprzednich numerów. Wiersz ten — jak zaznacza w swojej wypowiedzi poeta — wzbudził w łonie samego zespołu redakcyjnego sprzeczne opinie, dlatego nie ukazał się on wówczas razem z innymi wierszami cyklu.

Redakcji wydają się słuszne poglądy estetyczne wyrażone w odpowiedzi Woroszylskiego na list czytelników z IKKN. Co więcej wydaje się redakcji, że we wspomnianych poprzednio wierszach udało się poecie szczęśliwie przetłumaczyć te zasady na język poezji. Jednakże głosy czytelników do reszty przekonały nas, że nie stało się tak w wypadku „Spotkania w łaźni". Tragedia ludzka bez pokazania jej źródeł nie mogła dać odskoczni do trafnego politycznego i humanistycznego uogólnienia. Przeciwnie, obraz stworzony przez poetę dał w rezultacie w recepcji wielu czytelników efekt przeciwny od zamierzonego, wrażenie pewnej beztroski wobec ludzkiego nieszczęścia, co niewątpliwie nie leżało w intencji poety.

Ciekawa wymiana zdań, w związku z wierszem Woroszylskiego z pewnością będzie miała jeszcze ciąg dalszy.

nowe książki

Iście po gawędziarsku zaprasza do lektury swych „Pamiętników" (PIW; wstęp Niny Assorodobraj; podał do druku Adam Czartkowski) Seweryn Łusakowski: „Oto, moje kochane dziatki, w tym pamiętniku moim znajdziecie wiele rzeczy, które może wam się na co przydadzą". Na podstawie tych „wielu rzeczy" prześledzić możemy proces deklasacji szlachty (mimo pokrewieństwa z rodami arystokratycznymi). Specyficznie przebiegł on na gruncie galicyjskim, gdzie całe zastępy utytułowanej gołoty dusiły się w cesarsko-królewskim zaścianku. Odczytujemy z kart „Pamiętnika" typową drogę życiową zdeklasowanego szlachcica, ilustrującą spory kawał historii gospodarczej i społecznej naszych ziem.

Los Łusakowskiego podzielić mógł także Ludwik Łętowski, również zubożały szlachcic galicyjski. Jego „Wspomnienia pamiętnikarskie" (Przygot. do druku, wstęp i przypisy Henryka Barycza; Zakład Nar. im. Ossolińskich) zawierają nie tylko reakcyjną historiozofię autora (dominującą rolę w życiu państwowym powinno mieć duchowieństwo, szlachta i arystokracja), ale wykazują też niezwykłą „obrotność" życiową młodego oficera, który po klęsce Napoleona zmienił szlify na suknię duchowną. Widzi bowiem zamkniętą drogę awansu w armii księcia Konstantego dla pokolenia Kordianów. Do sytuacji ówczesnej odnieść można słowa Musseta ze „Spowiedzi dziecięcia wieku": „Kiedy chłopcy mówili o sławie, powiadano im: zostańcie księżmi: kiedy mówili o ambicji: zostańcie księżmi". I Łętowski jak Julian Sorel zmienił „czerwone" na „czarne", uzyskując z czasem godność biskupa. Obserwacje swego życia układa w prawdziwy obraz, krytykuje swe środowisko nie przestając być jego ideologiem i obrońcą. Toteż obok sporej ilości faktów historycznych z okresu Rzeczypospolitej Krakowskiej i Wiosny Ludów; komentarze Łętowskiego traktujemy jako nieszkodliwe anachronizmy. Oto np. twierdzi on, że wielki zryw wolności 1848 roku wywołał „motłoch w bluzach z wielu Francuzami awanturnikami, co do paszportu podali się jako faiseurs des barricades".

Obok wspomnień Łusakowskiego i Łętowskiego partykularz galicyjski opisuje też w pierwszym tomie swych „Pamiętników" (Ossolineum) Karol Chłędowski. Lektura zapisków zdeklasowanego szlachcica daje ciekawy materiał dotyczący fermentu ideowego w mieszczańskim środowisku Lwowa, rzuca też sporo światła na genezę literatury mieszczańskiej w Galicji.

W tomie drugim „Pamiętników" widzimy już autora jako wysokiego urzędnika w Wiedniu, odsłaniającego w swych zapiskach ówczesną cesarsko-królewską politykę.

Okres walk narodowo-wyzwoleńczych z roku 1863 obejmuje „Pamiętnik o Ignacym Chmieleńskim" Stefanii Wilskiej (opr. Stefana Kieniewicza. Zakład Nar. im. Ossolińskich). Jak wynika z tytułu samego, centralną postacią wspomnień Wilskiej jest znieławiony przez historiografię burżuazyjną Ignacy Chmieleński, który „w galerii przywódców 1863 r. pozostanie z pewnością rewolucjonistą najbardziej czynnym wobec groźby reakcji i zdrady". Pragnął on bowiem powiązać ruch niepodległościowy z poprawą losu chłopskiego, który przez długie dziesięciolecia przyczyniał się do zacofania kraju. Niezwykle ciekawie ułożyły się wrażenia przybysza z terenu tej właśnie prymitywnej gospodarki pańszczyźnianej do państwa szybko rozwijającego się kapitalizmu.

„Dziennik podróży po Anglii" Karola Sienkiewicza (opr. Bogdan Horodyski; Zakład Nar. im. Ossolińskich) jest ciekawym dokumentem tego, jak reagował na przejawy kultury, cywilizacji i obyczajowości angielskiej nasz rodak z początków ubiegłego wieku.

Wojciech Darasz, autor „Pamiętnika emigranta" (przypotowała do druku, wstępem i przypisami zaopatrzyła Anna Rynkowska; Zakład Nar. im. Ossolińskich) nie odbywał już dobrowolnie zagranicznego wojażu, lecz po klęsce powstania listopadowego uchodzić musiał do dalekiej Francji, gdzie stał się działaczem obozu demokratycznego Wielkiej Emigracji. Akcja pamiętnika obejmująca wypadki listopadowe, pochód do Francji i życie emigrantów na obczyźnie, staje się szczególnie ciekawa w tych momentach, gdy wskazuje na stosunek postępowej części społeczeństwa niemieckiego i francuskiego do Polaków-uchodźców.

W dziesiejszej serii pamiętnikarskiej pozostała jeszcze piękna i mądra gawęda nie żyjącego już Jana Michalskiego „56 lat wśród książek". Skromny bibliofil warszawski o rozległej wiedzy i „nieprzezwyciężonym wstręcie do pisania" dopiero pod koniec życia skreślił tekst wspomnień, włączając do nich — obok uwag o rosnącym umiłowaniu książki i proporcjonalnym doń rozszerzaniu się księgozbioru, o przyjaźni z ówczesnym światem bibliofilów i naukowców — nieoficjalną monografię ulicy Świętokrzyskiej, skupiska małych, zapchanych starodrukami księgarenek. Lektura wspomnień Michalskiego świadczy o tym, że jego główna pasja życiowa nie była zwykłym kolekcjonerstwem, zacieśniającym krąg zainteresowań autora: „Ojczysta historia, filozofia, etnografia, sztuka, coraz więcej mnie pochłaniały, wywołując potrzebę rozszerzania zbiorów w tym kierunku".

r. w.

O kolorze „Rzeki Czerwonej"

(Dokończenie ze str. 3)

wzbierają jak grzmot okrzyki przeciw wojnie w Indochinach. Autor znalazł dla swej kompozycji surową, ekspresyjną pointę. Książka — można by rzec — zamyka się jak jedna z tych pięści wznoszących się we Francji i na całym świecie.

*

Wydaje mi się, że Żuławski dobrze ustawił i przeprowadził swą książkę na dwóch planach: na froncie vietnamskim i z punktu widzenia uczuć i interesów ludu Francji. Można mieć wątpliwości co do trzeciego planu. Jaki jest rysunek tych, którzy robią politykę wojny?

Okienko, którym zaglądamy do francuskiego MSZ-etu, do Quai d'Orsay — to Ives Lemay. On reprezentuje straconą z dawnych pysznych pozycji, nie pozbawioną pewnej sceptycznej melancholii dyplomację francuską. Interesująca jest obserwacja autora, która odkrywa przed nami niemal geologiczne, a w każdym razie chronologiczne uwarstwienie kadr francuskiej dyplomacji. Starsza warstwa— to Dravet, wiekowy żubr ze zwierzyńca Poincarégo i Clemenceau, który dziś potrząsa bezsilnie grzywą wobec koncepcji Lemaya. Lemay— to generacja „czasów pogardy", to polityka z czapką w ręku, grająca przed Amerykanami tę samą melodię jaką Pétain grał przed Hitlerem. W tym układzie ideową najświeższą formację zdaje się reprezentować Lefebvre, który choć z trudem, ale z heroizmem odrywa swą starą duszę od rutyny epoki i maca jakąś drogę przed siebie.

Autor nie pokazuje do czego i do kogo owa droga prowadzi. Tym samym — ten interesujący przekrój warstwicowy przez myśl polityczną Francji staje się niepełny. Jak wiadomo Francja poszła dalej od Lefebvre'a, który decyduje się opuścić SFIO i głosować odtąd z progresistami. Połowa Francji głosuje już dawno na Thoreza.

To niedopowiedzenie ma swój dalszy ciąg, siedzi głębiej w intelektualnej glebie książki.

Bohaterowie „Rzeki Czerwonej" mają na ogół pełny kontur ludzki. Są to krótkie, zasadniczo strzegące się zbytniego psychologizowania szkice natur łajdackich. Ale łajdactwo, które Żuławski studiuje w Lemay'u, w Forge'u w Kerrolu — nie jest oszacowane jednoznacznie. Żuławski zdaje się występować z następującą tezą: wina osobista tych ludzi polityki i wojny zdaje się roztapiać w ogólniejszym, pierwotnym złu jakim jest imperializm. Major Forge ma cechy człowieka uczciwego, ale jako stary żołnierz nie wycofuje się ze złej sprawy. Sumienie profesjonalne zwycięża sumienie w sensie zwykłym. To samo z Lemayem: nie wiadomo, czy za swój brudny proceder dyplomatyczny odpowiada Lemay — czy też duch Lyantela, Piehona, Clemenceau aż do Pétaina włącznie, duch stanowiący tradycyjną atmosferę Quai d'Orsay... Taka psychologia ma jakby elementy wyrozumiałości w stosunku do autorów wojny vietnamskiej. Może temu zawdzięczają oni pozór prawdy i trójwymiarowości. Ale byłoby źle, gdyby te efekty literackie zostały uzyskane kosztem ostrości widzenia politycznego.

Bo jednak nie można zapomnieć, że polityka jaką Lemay reprezentuje, to nie jest jakiś uroczy tradycjonalizm, to w ogóle nie jest żadne „zamroczenie" historyczno - psychologiczne — tylko bezwzględna i łajdacka spekulacja kapitalizmu. Kiedy wielki Jaures w 1908 r. występował w Izbie przeciw marokańskiej polityce M. Piehona, to nie wahał się łajać tych panów jak ordynarnych złodziei. Wołał: „Oto spisek kłamstwa, podstępnego gwałtu i szachrajstwa finansowych rekinów". Słowa te nie są ani o pół tonu za mocne. Dziś przywołuje je na pamięć Marcel Cachin w związku z polityką gabinetu Laniel — Bidault w Indochinach i w Maroku. W Maroku, gdzie Francuzi dokonali niedawno charakterystycznego puczu, istnieje przeszło 20 towarzystw kapitalistycznych, które opanowały elektryczność, węgiel, przemysł chemiczny, cukier, tytoń, mangan, miedź itd. Inwestowano tam dziesiątki miliardów franków. A jedna z gazet giełdy paryskiej pisała niedawno z chciwością: — „Obszary między Nemours — Oran — Casablanca — Agadir — mogą być uważane za Ural i Syberię Francji. Są tam tereny o najbogatszych złożach mineralnych na świecie".

Odnosi się wrażenie, że Żuławski nie dość jasno widzi ekonomiczną podszewkę zagadnienia, a tylko ona objaśnia należycie pojęcie „brudnej wojny". Wierzymy, że Lemay, wychowanek Szkoły Normalnej, typowy produkt liberalizującej zamożnej burżuazji francuskiej — boi się komunizmu i wierzymy, że z melancholią przyznaje się w duchu do upadku dyplomacji francuskiej w stylu Clemenceau. Ale to delikatne obmacywanie Lemaya nie ustawia go dość wyraźnie w opinii czytelnika. Bo trudno nam np. uwierzyć, że Lemay nie miał nic wspólnego ze słynną aferą z piastrami, w której skompromitowali się czołowi zwolennicy wojny vietnamskiej. A jeżeli Lemay rzeczywiście nie miał z tą aferą nic wspólnego — to czemu w takim razie autor nie wybrał bardziej typowego bohatera polityki francuskiej?

W książce Żuławskiego — tak skądinąd gęsto zaludnionej — brak przedstawicieli dwóch światów, które stanowią o obliczu dzisiejszej Francji. Lefebvre daje krok w lewo, ale przed nim nie widać żadnej podobizny Thoreza, Stila czy Marcela Cachin, którzy od tylu lat reprezentują Francję rewolucyjną. Z drugiej strony jest smutny — nie wiedzieć dlaczego? — Lemay oraz tuzin innych rutyniarzy dyplomacji i wojskowości, ale nie ma wśród nich ani jednego egzemplarza tego gatunku, który o czynach dyplomatów i generałów rozstrzyga wyciągając pulchnymi, uzłoconymi paluchami czekową książeczkę.

*

Uczucie zadowolenia i pewnej dumy łączy się z myślą, że w literaturze polskiej — niemal przed innymi literaturami*) — zagadnienie Vietnamu znalazło dobitny wyraz. I mam wrażenie, że książkę Żuławskiego powinno się przełożyć na francuski, oraz że spotkałaby się ona we Francji z dużym powodzeniem ,tak ze względu na temat dręczący nade wszystko ten naród, jak też ze względu na cechy estetyczne zbliżone do stylu pisarstwa francuskiego. Ale tym większej wagi nabierają wyżej sformułowane zarzuty, bodaj jedyne, jakie można postawić tej dobrze napisanej, dzielnej pod każdym innym względem książce. Żuławski pozbył się psychologizmu w fakturze opowieści — ale nie pozbył się go ostatecznie w analizie politycznej. Jeżeli się weźmie pod uwagę kolor „Rzeki Czerwonej", nie jest to kwestia bylejaka.

Zbigniew Florczak

*) Równocześnie powstały we Francji dwie książki na ten temat, które może uda się porównać w przyszłości z utworem Żuławskiego.

NOWOŚĆ **NOWOŚĆ**

ALEKSANDER TWARDOWSKI

„WASYL TIORKIN"

„...Rzędem już żołnierze śpią,
Twardym snem zwaleni.
Wartownicy z zimna drżą,
Krążą przemoczeni.
Ciemna noc. Zatęsknił żołnierz:
Co się w domu dzieje?
Nagle sobie coś przypomni
I poweseleje.
Spojrzysz — a sen pierzchnął gdzieś
Przegnał śmiech ziewanie.
— Jak to dobrze, Tiorkin, żeś
W naszej jest kompanii..."

WASYL TIORKIN zawsze towarzyszył żołnierzowi radzieckiemu tak w marszu jak i na postoju, czy też w czasie krótkiej przerwy w działaniach bojowych. Uczył i bawił, wzruszał do łez i rozśmieszał do łez.

WASYL TIORKIN, to dobry znajomy również i żołnierzy I Armii WP. Był im bliski, jak druh serdeczny, bo wspaniałe było to żołnierzysko — wzór i przykład dla każdego. Toteż, gdzie tylko pojawiła się niewielka książeczka pt. Wasyl Tiorkin, zbierali się żołnierze dla wspólnego czytania poematu Aleksandra Twardowskiego.

Tłumaczył Włodzimierz Boruński

Str. 238 Cena zł 12.—

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

k 16800-1

Jalu Kurek
WĘZEŁ GARMO
Opowieść alpinistyczna
8 ilustracji
str. 101 zł 3,50

Sławomir Mrożek
POŁPANCERZE PRAKTYCZNE
dowcipne opowiadania i felietony satyryczne
str. 145 zł 4.—

Adam Polewka
IGRCE W BARBAKANIE
Poetyckie widowisko obrazujące obyczaje i konflikty średniowiecznego Krakowa.
Reprodukcje ówczesnych drzeworytów
str. 96 zł 8.—

Tadeusz Śliwak
ASTROLABIUM Z JODŁOWEGO DRZEWA
Poemat o Koperniku
Ilustracje Jerzego Skarżyńskiego
str. 52 zł 3,20

WYDAWNICTWO LITERACKIE
W KRAKOWIE
K. 13310-1

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE LISTU LICHNIAKA

Pozostawmy na boku impertynencje Lichniaka towarzyszące jego korespondencji nadesłanej do „Nowej Kultury".

Sięgnijmy do istoty zagadnienia.

Zygmunt Lichniak z oburzeniem protestuje przeciw krzywdzącej go rzekomo ocenie zawartej w mojej książce „Kierunek natarcia" (szkic „Walka o jakość ale jaką?") przeciw nazywaniu go przeciwnikiem realizmu socjalistycznego.

Korzystając z polemicznego wypadu broniąc się przed rzekomo „wrzaskliwymi oskarżeniami" przed „szkodliwą i błędną" tendencją moich rozważań, Lichniak formułuje w wyraźny sposób swą teraźniejszą postawę polityczną wyjaśnia sens i cel swego pisarskiego działania.

Aczkolwiek sformułowania te sąsiadują z próbami obrony jego dawnej negatywnej działalności, z próbami zatarcia różnicy między punktem wyjścia Lichniaka, a pozycją zadeklarowaną przez niego obecnie, winniśmy te sformułowania przyjąć tak jak zostały wypowiedziane, przyjąć je z uwagą.

Lichniak pisze:

„Krytyk katolicki rozumiejący swoją działalność publicystyczną w konkretnych warunkach Polski Ludowej, jako powierzone mu na jego odcinku zadanie m. in. przełamywania wstecznych sposobów przeżywania sztuki, zadanie unowocześnienia metod poznawczych, zadanie radykalizowania i przekształcania w duchu socjalizmu świadomości społecznej artysty i czytelnika — musi dojrzeć w teoretycznych wytycznych i w realiach konkretnych realizmu socjalistycznego prawdy niewątpliwie konieczne do przyjęcia... Popełniając te czy owe błędy dawałem m. in. świadectwo prawdzie słusznych postulatów realizmu socjalistycznego. Wiecej: mobilizowałem — na miarę swoich sił inteligencji katolickich w kierunku zrozumienia i przyjęcia z realizmu socjalistycznego jego niewątpliwych zdobyczy...

Wierzę w możliwość dyskutowania o sprawach kultury i sztuki wśród ludzi, którzy zajmując w wielu zasadniczych kwestiach politycznych wspólne stanowisko, walcząc na ważnych odcinkach Frontu Narodowego — mogą zachować swą postawę filozoficzną, mogą wymieniać sądy o wartościach kulturalnych nie zapominając w twórczej dyskusji o wypróbowanej i umacnianej latami współ ocie sprawy pokoju, wolności i socjalizmu..."

Tylko z zadowoleniem i życzliwością można powitać tę deklarację Lichniaka. Zapewne w ślad za tymi teoretycznymi uogólnieniami nastąpi ich weryfikacja w działalności krytyka.

Czy oznacza to, że powyższa zapowiedź nie znajdowała dotychczas odbicia w publicystyce Lichniaka?

Byłoby to nieprawdą. Od pewnego czasu — a ściślej od sierpnia-września 1952 roku można zauważyć pewną ewolucję w artykułach Lichniaka, zmianę celu, tonu i metody jego wypowiedzi.

Przejawy tej nowej postawy uwidoczniły się wyraźniej w opublikowanych w końcu 1952 i w 1953 roku recenzjach z książek Newerlego, Stryjkowskiego, Brauna, Putramenta, Żukrowskiego, Żuławskiego i innych.

Natomiast moja praca „Walka o jakość ale jaką?" o której wspomina Lichniak, nosi wyraźnie datę: **styczeń 1951 — lipiec 1952** odnosząc się do konkretnego etapu rozwoju naszej literatury i do konkretnego etapu działalności krytycznej Lichniaka.

Nie posiadając właściwości nadprzyrodzonych, nie mogłem omówić tych prac Lichniaka, które ukazywały się w ostatnim roku.

W swoim liście Lichniak dokonuje mistyfikacji usiłując zamazać proces zmiany tonu i charakteru jego działalności publicystycznej, jednocześnie przedstawiając moją ocenę jego poglądów jako „sekciarską" sprzeczną z ideami Frontu Narodowego.

Przy pomocy sztucznie dobranych przykładów Lichniak pragnie przedstawić swój cykl artykułów „Obrachunki ze współczesnością" jako jednolity w koncepcji i postawie wartościującej, jako służący sprawie realizmu socjalistycznego.

Nie dostrzegając daty mej pracy, Lichniak powołuje się w zasadzie na swoje prace napisane po sierpniu 1952 roku, a których z oczywistych względów nie mogłem, a w korekcie książki nie miałem powodu uwzględnić.

W ten sposób uważając się już w tej chwili za bojownika o sprawę realizmu socjalistycznego, oburzony Lichniak wykrzykuje: Of jaka krzywda mnie spotkała! Wszystko za dobrą wolę i niewinność.

Tu następuje zręczna wolta i okazuje się, że niczemu nie jest winien Lichniak a całe zło pochodzi od krwiożerczego sekciarskiego, zacietrzewionego Lasoty, rzucającego podłe kalumnie na biednego niewinnego Lichniaka.

Nie pozostaje więc nic innego jak wykazać oczywistość tej mistyfikacji przypominając czytelnikom i autorowi „Obrachunków ze współczesnością", czym różni się charakter „Obrachunków" od deklaracji zacytowanej przeze mnie na wstępie.

Najogólniej biorąc punkt wyjścia Lichniaka był następujący

Przyjmijmy dla własnych ideowych celów, dla umocnienia naszego światopoglądu „pewne elementy" realizmu socjalistycznego. Tworzmy literaturę katolicką, powszechnie dostępną, tendencyjną, aktywną społecznie.

Pięknie — ale tendencyjność tej literatury tylko wtedy może być postępowa jeśli będzie akceptować, bądź odzwierciedlać wielkość społecznych przemian w Polsce Ludowej, jeżeli będzie — niezależnie od postawy religijnej pisarzy — odzwierciedlać istotę obiektywną, istotę zachodzących w człowieku i społeczeństwie przeobrażeń, co z kolei oznacza konieczność realistycznego kształtu tej literatury. W przeciwieństwie do swej deklaracji, Lichniak nie łączył wyraźnie tej polityczności i tendencyjności literatury z budownictwem Polski Ludowej, przez co oddzielając postulat tendencyjności od programu tworzenia nowego życia, Lichniak po prostu propagował nie mający nic wspólnego z realizmem — a tym bardziej socjalistycznym — „realizm lichniakowski" w pierwszym wydaniu typu Greena lub Dobraczyńskiego.

To namiętne nawoływanie do świadomej ideowej funkcji literatury nie łączyło się z wskazywaniem drogi realistycznej obserwacji, poznawania życia — lecz prowadziło do wprzęgania tendencyjności literatury w rydwan obcej nam i nie realistycznej metody.

Dominantą wskazań Lichniaka nie była droga poszukiwań realizmu, angażowania pisarzy w proces budowania nowej, lepszej rzeczywistości, tworzonej rękami milionów szeregowców Frontu Narodowego. Nawiązanie do dwudziestolecia i wysunięcie Liberta jako sztandarowego pisarza odpowiadającego koncepcji Lichniaka, wskazanie jego przykładu współczesnym pisarzom, przeczy wyraźnie rzekomej walce o **„upowszechnianie najcenniejszych zdobyczy realizmu socjalistycznego"**.

Zarówno artykuł o Libercie, jak prace o Gołubiewie, Dobraczyńskim, Chrzanowskim, Podsiadzie, Kołendo, Olszewskim, nie charakteryzowały moim zdaniem wyraźnie dążności do łączenia zadań katolickiego pisarza z budownictwem socjalistycznym, lub przynajmniej do wykazywania wyższości realistycznej metody twórczej. Przeciwnie, akceptowały naturalizm, estetyzm, „hermetyzm".

Zerknijmy np. na konkluzje artykułu o Libercie:

„Dopiero dzisiaj widocznie można było ustalić wymiary tego jedynego niepowtarzalnego zjawiska, jakim była poezja Liberta, poezja katolicyzmu walczącego o jak najgłębszą prawdę życia wewnętrznego i jak najpełniejszy jej wyraz zewnętrzny, poezja walki o integralną łączność twórcy z dziełem wyrażającym najistotniejszą treść procesu zdobywania człowieka przez Boga".

Analizując twórczość Gołubiewa (i wysuwając moim zdaniem głęboko niesłusznie jego książki na czoło współczesnej literatury) Lichniak w zawiłych i mętnych zdaniach ostrzega jednocześnie autora przed zbytnim posuwaniem się w kierunku realizmu, wyrażającym się w dziele Gołubiewa ulgazywaniem ekonomicznych i gospodarczych czynników formowania się narodowości. Ten realistyczny, zgodny z obiektywną rzeczywistością proces społeczny Lichniak uważa za szkodliwy wpływ marksizmu, dyktujący mu **„niepokój o intelektualną warstwę utworu"**.

Wobec pisarzy o odmiennej postawie światopoglądowej Lichniak na wstępie swych rozważań wysunął hasło krytyki immanentnej krytyki nie podejmującej dyskusji z odmiennymi wobec Lichniaka postawami światopoglądowymi, lecz ukazującymi istotne zalety i wady ocenianych utworów z punktu widzenia metody twórczej reprezentowanej przez danych pisarzy.

Trzymanie się tej zasady byłoby rzeczą niewątpliwie pożyteczną, a permanentne od niej odstępowanie świadczy o gołosłowności haseł wstępnych. Zarówno we wspomnianych artykułach, jak i w licznych wystąpieniach na dyskusjach w Związku (o poezji Gałczyńskiego, Słonimskiego, prozie Morcinka itp.) Lichniak deklarując w ogólnikach pozytywy, w konkretnej analizie wykazywał swą bynajmniej nie realistyczną i nie „immanentną" postawę.

Omawiając książki Brandysa Lichniak sugerował:

„...Istnieje tragedia pozytywów polegająca na niedowładzie środków artystycznych", którą rozwiązują „doświadczenia szczęśliwszej pod tym względem powieści... Bernanosa, Mauriaca, Greena, Marshala, Chestertona...

Do zagadnienia tego warto wrócić kiedyś w osobnych rozważaniach zwłaszcza, że doświadczenia powieści katolickiej są w tym wypadku czymś więcej niż sprawą tradycji literackiej..."

I pretensje do Lichniaka mieć należy nie za to, iż sugeruje jakieś rzekome granice realizmu, ograniczające nasze możliwości poznania człowieka (z uwagi na tkwiący w nim pierwiastek metafizyczny!) lecz o to, że za przykład daje dekadencką, obcą nam politycznie i ideowo powieść burżuazyjnych pisarzy zachodnio-europejskich.

W świetle tego co powiedziano jasna staje się bezpodstawność zarzutów Lichniaka.

Oto dlaczego dając w „Kierunku natarcia" przykłady fałszywie pojętej walki o jakość naszej literatury m. in. pisałem:

Lichniak... **„deklarując swój pozytywny stosunek do zmian zachodzących we współczesnej literaturze, w praktyce zdyskwalifikował prawie wszystkie utwory zbliżające się ku realizmowi socjalistycznemu, podnosząc zalety poezji i prozy nam ideologicznie obcej, lecz pisanej przez literatów, którzy w swych wypowiedziach publicystycznych wielokrotnie dali się poznać jako ludzie lewicy... Perfidia metody krytycznej Lichniaka wyrażała się również w tym, że pisarzom przechodzącym ewolucję ideologiczną i artystyczną usiłował on przeciwstawić okres miniony, jako okres ich rzekomo wysokich osiągnięć warsztatowych..."** Oto dlaczego zgodnie z faktami nazwałem wówczas Lichniaka przeciwnikiem realizmu socjalistycznego.

Przejdźmy do wniosków.

Sprawa poruszona przez Lichniaka posiada oczywiście poważniejszy i głębszy zakres niż jego publicystyka. Jest to sprawa współpracy i współdziałania pisarzy o różnych światopoglądach w ramach Frontu Narodowego. Na pewno różnica stanowisk estetycznych, a nawet światopoglądowych w sztuce, nie może być w żadnym wypadku utożsamiana z zasadniczymi różnicami politycznymi, z postawą obywatelską świadczącą o stosunku do Polski Ludowej.

Niezależnie od postawy estetycznej, mogą i winni obok siebie kroczyć ludzie zjednoczeni miłością do Polski Ludowej, jednocześnie ostro ze sobą dyskutując o sprawach sztuki. Akceptowanie Frontu Narodowego przez pisarzy, czynny udział w budownictwie nowego życia nie musi przecież oznaczać pełnej akceptacji metody realizmu socjalistycznego. Jednocześnie wspólna walka w szeregach Frontu Narodowego nie wymaga i nie może wymagać od marksistów jakiegokolwiek ustępowania z własnych ideologicznych i estetycznych stanowisk.

Grzegorz Lasota

ZA DUŻO CZY ZA MAŁO

W 39 numerze „Nowej Kultury" ukazał się artykuł Tadeusza Peipera „Co i kiedy?", w którym autor zaszczycił krótką wzmianką moje wywody drukowane w „Przeglądzie Kulturalnym" („Literatura na opak"). Wspomniawszy mimochodem o moich spostrzeżeniach, Peiper doszedł do konkluzji:

„Nieste y Karst zawiódł w swoich wnioskach. Zajmując się przyczynami zła, podał przyczyny tak liczne i tak ruchliwe, że w ich wirach sprawa p o p r a w y szkolnego nauczania musi zatonąć.

Powódź wniosków jest zalewem sprawy".

Przyznam się, że takiego obrotu dyskusji nigdy się nie spodziewałem. Przypuszczałem, że polemika potwierdzi lub obali moje argumenty, a w każdym razie r o z s z e r z y zakres problematyki, dotykającej istotnej rany naszej edukacji i naszego życia literackiego. Tadeusz Peiper natomiast chce z w ę z i ć dyskusję, i to do zagadnienia podręczników szkolnych.

Peiper, domagając się poprawy szkolnych czytanek i metod nauczania, bronił dobrej sprawy i jesteśmy wszyscy gotowi mu w tym pomóc. Żądając jednak skoncentrowania ognia krytyki tylko na tym zagadnieniu, staje w obronie niesłusznej sprawy. Złe podręczniki szkolne są symptomem ogólnego zjawiska, które powinniśmy wszechstronnie omówić. Potwierdziła to zresztą praktyka: dyskusja toczące się na łamach „Przeglądu Kulturalnego" i Waszego pisma załatwia coraz szersze kręgi i przerzuca się na wiele dziedzin życia kulturalnego i literackiego. Sama „Nowa Kultura" zajęła w tej sprawie stanowisko całkiem sprzeczne z żądaniami Peipera, stwierdzając półrem swojego recenzenta w poprzednim, 38 numerze (Przegląd Prasy): „Winna jest takiemu stanowi n i e t y l k o s z k o ł a, nie tylko szufladkowiące, schematyczne, bezduszne wbijanie w umysły młodzieży pojęcia o literaturze itd.". A Peiper chce tylko o szkole! Czyżbyśmy mieli ogłosić ogólne moratorium i poczekać z innymi bolączkami, aż się załatwi sprawę podręczników szkolnych?

Wreszcie ostatnia uwaga o „przyczynach zła". Z polemiki toczącej się na łamach „Przeglądu Kulturalnego" wynika, że wymieniłem tych przyczyn z a m a ł o. Zdaniem Peipera podałem ich z a d u ż o. Mój Boże, jak trudno jest wszystkim dogodzić!

Roman Karst

WYJAŚNIENIE „CZYTELNIKA"

Uprzejmie prosimy o zamieszczenie następującego wyjaśnienia:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" zawiadamia, że na karcie tytułowej części I „Dzienników" Stefana Żeromskiego, opracowanych w Instytucie Badań Literackich PAN, pominięto z winy wydawnictwa nazwiska Wacława Borowego i Stanisława Adamczewskiego, którzy opracowali tekst edycji, oraz Jerzego Kądzieli, który opatrzył ją przypisami.

Jednocześnie w Nocie Redakcji opuszczono następujący fragment: „Inicjatywa wydania „Dzienników" wyszła od Wacława Borowego, który przygotował do druku tekst dwu pierwszych tomików. Po śmierci Wacława Borowego edycję części I „Dzienników" do końca doprowadził Stanisław Adamczewski".

S. W. „CZYTELNIK"

*

NAJBLIŻSZE ZEBRANIA SEKCJI TWÓRCZYCH

Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP komunikuje, że najbliższe zebrania Sekcji Twórczych odbędą się:

dnia 5 października (poniedziałek) o godz. 16 Sekcja Satyry. Temat: omówienie filmu „Sprawa do załatwienia". Ref. Z. Bystrzycka.

dnia 7 października (środa) o godz. 17 Sekcja Poezji. Temat: „Poezja w podręcznikach szkolnych". Ref. A. Słonimski.

U PRZYJACIÓŁ

O specyfice satyry Lwa Tołstoja

Poświęcając obszerny artykuł satyrze Lwa Tołstoja, krytyk Mark Szczegłow („Nowyj Mir" nr 9) stwierdza, że we wszystkich okresach twórczości Tołstoja, charakterystyczny jest szczególny sposób rozmieszczenia satyry w artystycznym wizerunku życia. Satyra u Tołstoja jest organicznym składnikiem realistycznego odtworzenia rzeczywistości. Jest istotną częścią składową wielobarwnego obrazu życia, w którym jest miejsce na wszystko co dobre i złe, zwyczajne i wzniosłe, piękne i obrzydliwe — wszystko, co jest w rzeczywistości. W żadnym z utworów Tołstoja satyra nie awansuje do roli samodzielnego wątku. Zawsze jest to e l e m e n t s a t y r y c z n y w surowo obiektywnym, spokojnym, zrównoważonym opowiadaniu (satyryczny opis nabożeństwa żałobnego w „Śmierci Iwana Iljicza").

Ale satyryczny styl Tołstoja to nie tylko „ilość" momentów satyrycznych, lecz przede wszystkim „jakość" wykorzystania satyry. To wszystko, co odczuwamy u Tołstoja jako jaskrawość satyryczną, jest nie tylko wrysowane w rozległą realistyczną panoramę życia, lecz przy bliższym wglądnięciu często okazuje się istotnie naturalną jak gdyby częścią realnie ukazanej rzeczywistości. Tam gdzie Tołstoj chce unicestwić postać ujemną, gdzie chce „pośmiać się" z niej, nie dzieje się nic przesadnego; jego bohaterowie nie robią nic nadzwyczajnego: Nie skupują martwych dusz, nie depczą po nogach swym gościom — jak bohaterowie Gogola, Szczedrina czy Gleba Uspieńskiego. W ramach tego, co rzeczywiście istnieje w życiu, opisując zgodnie z prawdą wydarzenia lub czyny, które chce zdyskredytować — Tołstoj ogranicza się najczęściej do tendencyjnego skoncentrowania uwagi czytelnika na pewnych genialnie podchwytych momentach, gdzie zjawisko ujemne samo się jak gdyby zdradza, demaskuje się w całym szeregu komicznych kontrastów, sprzeczności między jego pozorną rolą a prawdziwą treścią. Nagromadzenie tych kontrastów, obnażenie ich źródła psychologicznego czy socjalnego, stwarza wrażenie komicznej sztuczności w najbardziej imponującej ceremonii (msza w „Zmartwychwstaniu") lub przekonanie o nicości człowieka, przez wszystkich uznanego za wielkość (opis toalety porannej Napoleona w „Wojnie i pokoju") Jest to nasilony, spotęgowany realizm szczegółów, drobiazgów, ukazanie wszystkich „tajemnic" wbrew sztuczności i estetyzmowi tradycji literackiej. Ale czyni się to nie dla eksperymentu naturalistycznego, nie dla fotograficznego ukazania życia. W tym skrzętnym nagromadzeniu szczegółów tkwi głęboka idea i jak najbardziej tendencyjne potępienie tego zjawiska społecznego, które się w tych szczegółach demaskuje. Tołstoj chwyta w życiu taką chwilę, taki splot, w którym nie trzeba nawet nic wyjaśniać, gdyż spod przykrywki pozorów wyziera obrzydliwa tryw alność, egoizm i brud.

Jako przykład takiego „satyrycznego realizmu" Tołstoja, przytacza Szczegłow sposób ukazania Napoleona w „Wojnie i pokoju". Przy całej zgodności z faktami historycznymi Tołstoj zrywa z Napoleona maskę romantyki drogą przeciwstawienia jego wielkości w czynach historycznych szczegółom jego życia codziennego, na które składają się najzwyklejsze sprawy, dolegliwości, masaże, toaleta poranna. Wysuwając tendencyjnie na pierwszy plan ten realny kontrast, tworzy Tołstoj kapitalną satyrę.

Albo jeszcze jeden wymowny epizod z „Sonaty kreutzerowskiej": scena przygotowań do zabójstwa. Poznyszew chciał być straszny, chciał wzbudzić przerażenie. I czytelnik rzeczywiście jest wstrząśnięty. Ale czy taki Poznyszew, natura słaba, egoistyczna i dysharmonijna, może przeżywać tragiczne męczarnie, czy taki mężczyzna może stać się Otellem? I nagle, w chwili największego napięcia Tołstoj zaczyna wdawać się w szczegóły: obojętnym, „epickim" tonem opowiada, jak zabójca, pragnący wzbudzić przerażenie, zdejmuje buty i pozostaje w płaszczu i skarpetkach, a potem „miękko stąpając w samych skarpetkach" podkrada się do drzwi. Te szczegóły sprawiają, iż krwawa scena staje się obrzydliwie prawdziwa. Takiego bezpośredniego a zarazem subtelnego obnażenia trywialności, pragnącej przybrać maskę wzniosłej tragedii, nie znała literatura przed Tołstojem.

Jest jeszcze jeden rys, nadający satyrze Tołstoja specyficzny charakter: niezwykła powaga, niekiedy nawet surowość tonu, jakim Tołstoj mówi o rzeczach najśmieszniejszych. Autor „Śmierci Iwana Iljicza", „Sonaty kreutzerowskiej", „Zmartwychwstania" — nie żartuje. On sam nie śmieje się nigdy, jak śmiał się Gogol, Szczedrin, Czechow. Ale w wyniku jego powolnego, poważnego opowiadania to, co miało być przekonywające lub wzniosłe, okazuje się błahe, głupie i śmieszne. Jak gdyby spod ładnej maski wyjrzał wulgarny pysk.

Pisarze i krytycy literatury—kończy Szczegłow — pracujący nad ugruntowaniem teoretycznym i praktycznym rozwojem satyry, powinni głęboko wczytywać się w nieśmiertelne stronice dzieł Tołstoja, rozszerzające nasze ogólne pojęcie o satyrze.

Las.

Chluba Rosji, chluba ludzkości

Sto dwudziesta piąta rocznica urodzin Lwa Tołstoja jest wielkim świętem kultury radzieckiej, jest zakrojonym na olbrzymią skalę, triumfalnym jubileuszem narodu rosyjskiego, który czci pamięć jednego ze swych najukochańszych synów.

Książki Tołstoja czytają w Związku Radzieckim również i te narody, które nie miały przed Rewolucją własnego piśmiennictwa. Od roku 1918 ukazało się ponad 55 milionów egzemplarzy dzieł Tołstoja w 75 językach. „Wojna i pokój", „Anna Karenina", „Zmartwychwstanie" — osiągnęły rekordową ilość wydań. „Hadzi-Murat" wydawany był 96 razy w 39 językach; „Opowiadania sewastopolskie" — 49 razy, „Kozacy" — 44 razy.

W całym ZSRR odbywają się uroczystości tołstojowskie. W zakładach pracy i w instytucjach naukowych, na Ukrainie, w Estonii i na Litwie, na Dalekiej Północy, odbywają się wieczory poświęcone pamięci pisarza. W całym kraju oddziały Związku Pisarzy organizują koncerty literackie i wystawy. Instytut Literatury Światowej imienia Gorkiego w Moskwie przygotował do druku dzieło, poświęcone twórczości Tołstoja. W Jakuckiej ASRR, w klubie kołchozu „Komunizm" otwarta została wystawa książki. Wśród eksponatów są utwory Tołstoja, wydane w języku jakuckim. Na ekrany kin radzieckich wszedł dokumentalny film „Lew Tołstoj".

Rokrocznie zwiedza Jasną Polanę blisko pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Starego wielkiego domu, w którym urodził się Tołstoj, nie ma już od dawna — Tołstoj sprzedał go na „rozbiórkę" jeszcze w młodości. Na jego miejscu leży kamień z napisem: „Tu stał dom, w którym urodził się Lew Tołstoj". Ale słynna „skórzana wytarta kanapa", na której się urodził, opisana tak szczegółowo w „Wojnie i pokoju", w „Annie Kareninie" i w „Dzieciństwie" — stoi, obita ceratą, w gabinecie Tołstoja, w oficynie, która z biegiem czasu rozrosła się i przekształciła w obecny główny dom Jasnej Polany. W mniejszym skrzydle, gdzie pisarz założył w latach pięćdziesiątych szkołę dla dzieci chłopskich, mieści się obecnie muzeum, poświęcone jego życiu i twórczości.

Żadna książka, żadna rozprawa naukowa nie daje tak głębokiego pojęcia o laboratorium artysty, jak zwiedzenie Jasnej Polany.

Oto co pisze o Jasnej Polanie Marietta Szaginian („Lit. gazieta"):

...„Mimo woli nasuwa się myśl: oto życie, ujęte w ciasne ramki jednej posiadłości, długie życie prawie na jednym i tym samym miejscu — jedynie gabinet przenosił się z pokoju do pokoju, ale wszystkie rzeczy, od starego orzechowego biurka, jeszcze po ojcu, do najdrobniejszych szczegółów umeblowania i przyborów do pracy — wszystko to szło w ślad za gabinetem i służyło wiernie, przez długie lata, aż do samej śmierci. I jakże to życie, ograniczone w przestrzeni, rozwijało się wciąż w głąb i w głąb, aż do ostatnich dostępnych człowiekowi granic...

...Tak często mówimy o konieczności studiowania życia i wyobrażamy te sobie jako nieustanne „pożeranie przestrzeni" — rozjazdy, przeloty, coraz intensywniejsze rozszerzanie kręgu wrażeń: tak często kpimy z tych, co kamieniem tkwią na jednym miejscu — a oto pracownia twórcy, który umiał wcielić w obrazach całą epokę (i to nie jednął), a jakże ograniczony jest rozmiar tej pracowni, jak osiadłe życie, jak wytrwała praca pisarza! Dla percepcji potrzeba nie tylko obiektu. Trzeba aparatu percepcyjnego. I Jasna Polana daje każdemu twórcy lekcję głębi postrzegania życia, albowiem życie w całym swym bogactwie otacza człowieka na każdym kroku, zawarte jest w każdej piędzi przestrzeni, na której człowiek oddycha.

...Kustosze Jasnej Polany, pokazując zapełnione książkami szafy, opowiadają zwiedzającym o ogromnym oczytaniu Tołstoja, o ilości pochłoniętych przez niego książek w kilku językach. Ale wydaje mi się, że nie to charakteryzuje Tołstoja, a raczej nie zupełnie go charakteryzuje. Tołstoj nie był bibliofilem, miłośnikiem, zbieraczem, pożeraczem książek. Czytał, tak samo jak żył, nie wszerz lecz w głąb. Ale za to jak on umiał przeczytać to troszkę, które było mu potrzebne!

Nie wszyscy wiedzą, że temat „Anny Kareniny" zawdzięcza Tołstoj Puszkinowi, jego nie dokończonemu opowiadaniu: „Goście zjeżdżali się na letnisko..." Pisał o tym Tołstoj w swym nie wysłanym liście do N. Strachowa.

...Na biurku Tołstoja... leży duże zielone szkło z wytłoczonym napisem — podarunek od robotników i urzędników huty szklanej Malcewa. Kiedy w roku 1901 cerkiew prawosławna wyklęła Tołstoja, przysłali mu ten zielony list na szkle z takimi słowami: „Podziellilliście los wielu ludzi wielkich, kroczących na czele swego wieku, czcigodny Lwie Nikołajewiczu! Dawniej również palono ich na stosach, kazano gnić w więzieniach i na wygnaniu. Niech wyklinają Was jak chcą faryzeusze — „najwyżsi kapłani". Ludzie rosyjscy zawsze będą się Wami chlubić, uważając Was za wielkiego, drogiego, ukochanego".

Najbliższą swą rodzinę, odwiedzających go gości, ludzi ze swej sfery, miał Tołstoj zawsze pod ręką, jako żywą naturę. Ale i główny przedmiot swej twórczości, głównego bohatera swych powieści i innych utworów — naród rosyjski, prostych chłopów rosyjskich — miał również przed oczyma, i nie tylko przed oczyma. Przy dworze była wieś Jasna Polana. Każdego chłopa wraz z jego rodziną znał Tołstoj jak własnych domowników, z imienia, z dziejów, z pragnień i potrzeb bieżących. Z nimi kosił, jak Lewin w „Annie Kareninie" swą „Kalinową łąkę", z nimi orał, uczył ich dzieci. Do niego przychodzili oni pod „Sokrowiąż" po radę i pomoc.

...Bezgranicznie piękne są tołstojowskie opisy przyrody. I całe to bogactwo barw i pór roku, cały urok opisów lasu, pól, łąk, rzek, wygwieżdżonego nieba, burzy letniej i gęstej śnieżycy — wszystko to wzięte jest stąd, z ziemi ojczystej, z niewielkiego skrawka jasnej Polany, gdzie Tołstoj bezpośrednio obcował z przyrodą, sam siał i sadził, kosił i plewił, hodował merynosy i w nocy wstawał do krowy Pawy, która się ocieliła, polował na zające i słonki, przynosił ze spacerów dziwne kwiaty polne, pasjonował się pszczołami i sam był pszczelarzem. Tym wszystkim wielki pisarz żył i to wszystko nieśmiertelnie żyje w jego dziełach. Ale jak namiętnie rwał się, jak niezmordowanie docierał Tołstoj do wiernego wizerunku przyrody, którą znał przecież jak własnych pięć palców!

...W „Annie Kareninie" jest miejsce, gdzie Lewin, rozmawiając u siebie w majątku z Obłońskim, wspomina odmowę Kitty i „zawstydzenie... zabolało go znowu jak świeża rana". Ale Tołstoj mówi o nim, że Lewin jest u siebie w domu, a „w domu nawet ściany pomagają". Tołstoj lubił tę swoją myśl, przekonał się na sobie o jej słuszności. W domu nawet ściany pomagają — ściany Jasnej Polany, jej ziemia, jej ludzie, każda rzecz, towarzysząca mu w życiu codziennym — wszystko to pomogło wielkiemu pisarzowi ziemi rosyjskiej głęboko wejrzeć w życie i opisać je z nieśmiertelnym kunsztem".

Czytając 38 numer „Nowej Kultury" sądzić by można że piosenka w filmie „Sprawa do załatwienia" ważniejsza od samego filmu i że na dodatek pismo literackie nic nie ma do napisania na temat powszechnie znanego faktu poprzemaniu przeinaczania scenariusza bez zgody autorów.

Nie mam zamiaru polemizować z Gaworskim na temat „chcecie nie wierzcie" bo i sam wiele bym Gozdawie i Stępniowi miał do zarzucenia — tyle że nie tym może tonem, tyle że chyba pamiętając i wspominając o tym, że są autorami bardzo popularnymi i przez publiczność lubianymi, a w tym coś jest. Nie o to jednak w tej chwili mi chodzi. Wydaje mi się, że organ Związku Literatów różne dyskusyjne rzeczy drukować może, ale nie może, na dodatek piórem poety, podważać pewnej kategorii rymów i próbować pozbawić nas ładnego kawałka poezji polskiej.

Bo cóż się dzieje W zapale walki z Gozdawą i Stępniem Gaworski atakuje rym „tem — MDM" jako niezgodny z obowiązującymi zasadami gramatycznymi Stąd moje zaniepokojenie. Niedobrze bowiem, gdy w sprawach językowych młodzi poeci stają się mniej tolerancyjni od starych procesorów. Rzeczywiście bowiem była Polska Akademia Umiejętności w reformie z roku 1936 wprowadziła zasadę, że „narzędnik liczby pojedynczej rodzaju męskiego i nijakiego, jako też narzędnik liczby mnogiej deklinacji zaimkowej i przymiotnikowej mają bez różnicy rodzajów końcówki ym -im -ymi, -imi"

W tym momencie jednak komisja PAU stanęła wobec zagadnienia co będzie z naszą spuścizną poetycką. Co będzie z „Panem Tadeuszem", który na podstawie nowej pisowni tracił część rymów, jak na przykład ten:

.... Do tych pól, malowanych zbożem [rozmaitem
Wyłaczanych pszenicą, wysrebrzanych [żytem...

Czy pisać zgodnie z zasadą: „rozmaitym — żytem"? Pisać można, tylko co z rymem.

Wówczas poszli profesorowie po rozum do głowy i stworzyli to, co zawsze się stwarza, gdy zasada nie pasuje do wszystkich przypadków życia. Stworzyli mianowicie wyjątek, i oto odnośnie do stwierdza: „Zasada ta nie stosuje się rygorystycznie do rymów".

Dzięki temu Staff może pisać:

„Jeśli śnić, to poczęcie szalone, [olbrzymie!
Pożądać — to bez miary. Ramieniem [skrzydlatem
Sięgać, gdzie nawet dzwonów nie dolecі [łmię.
Gwiazdy siostrami swymi, orła zowę [bratem".

Dzięki temu wiersz Kochanowskiego pozostał wierszem i nie przeistoczył się w prozę:

„Niezwykłym i nie lada piórem [opatrzony
Polecę precz, poeta, ze dwojej złożony
Natury: ani ja już przebywać na ziemi
Więcej będę, a większy nad zazdrość, [łudnemi
Miasty wzgardzę; on w równym [szczęściu drodzony,
On ja, jako mię zowiesz, wielce [ulubiony

Mój Myszkowski, nie umrę ani mię [czarnymi
Styks niewesoła zamknie odnogami [swymi"

A więc u Staffa pozostaje „skrzydlatem — bratem", a nie „skrzydlatym — bratem", a więc u Kochanowskiego Kott i Ważyk słusznie zostawiają „ziemi — ludnemi", nie zmieniając „ziemi — ludnymi"; a drukują „czarnymi — swymi" według wszelkich wymogów Gaworskiego, gdyż rym tu ocalał.

Pierwsze wydanie Słowackiego w „Ossolineum" stanowi przykład, do czego doprowadzić może tępa pedanteria w dziedzinie pisowni. Mamy tam takie przeinaczenia jak:

„Czy on na świecie żyw — czy gdzie [nad światem?
Wiem, że duch taki jest — i dość mi [na tym".

Ciągle nie wiem, jak to czytać. Tak jak wydrukowane? Chyba nie. Więc albo „światem — na tem", albo „światym — na tym".

Albo w innym miejscu, ileż uroku straciło przy pomocy pedantycznej pisowni, którą Gaworski chce uczynić obowiązującą:

„A raczej powiem — gdy się żywot [zmierzcha.
Dusza-jaskółka daleko od ziemi,
Pomóż jaskółce, co mi z oczu pierzcha
Z oczami w światło rozweselonymi".

Zawsze, gdy czytam tę strofę, wydaje mi się, że oczy jaskółki smutnieją. Wolałaby „rozweselonemi" rymem z „ziemi" się spotykać, a nie mijać.

Zbigniew Mitzner

CZY WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ?

Powieść Eugeniusza Paukszty „Srebrna Ławica" jest książką interesującą przede wszystkim ze względu na temat: o rybakach pisano dotąd u nas mało, o Mazurach jeszcze mniej. Sprawy rybackie nie zajęły jeszcze nikogo poza Marią Bonieckа („Nad Wielkim Zalewem") i Lechem Bądkowskim („Kuter na strądzie"). Zagadnienie mazurskie wprowadził do literatury jedynie Igor Newerly, który w „Archipelagu ludzi odzyskanych" poświęcił sporo uwagi mazurskim rybakom („Obrona placówki Pluski"). Ale to wszystko.

Książka Paukszty mówi o rzeczach nowych, mało znanych. Na stronicach tej powieści żyjemy w kręgu mazurskich jezior — nad Wielkimi i Małymi Mamrami, nad Kirsajnem, Świętem i Głęboczkiem. Codzienne życie rybackiego zespołu, osobiste radości i troski rybaków, połowy i przygody, związane z rybaczym trudem, oto treść „Srebrnej Ławicy". Potoczystość stylu Paukszty, żywa akcja, perypetie uczuciowe bohaterów sprawiają, że czytelnik czyta książkę szybko i łatwo. Zastanowmy się jednak, jakie z lektury tej wyciągnie wnioski. Bohaterzy „Srebrnej Ławicy" to członkowie zespołu rybackiego Laki. Jest wśród nich dwóch Mazurów: jeden reemigrant z Francji; są ludzie z Suwalskiego i z Lubelszczyzny. Cała liczna reszta to repatrianci z Wileńszczyzny. Nie dowiadujemy się niestety, jakimi drogami i w jaki sposób złączył się w zgrany kolektyw ten różnorodny zespół, jak poznał on skomplikowany fach rybacki tak dalece, że jest — jak chce autor — przodującym zespołem w całej Polsce. Jakoś to samo tak się składa. Aż prosi się powiedzonko Wiecha, że „szafa gra". Źródłem sukcesów łaczańskiego zespołu jest najprostszy przypadek: węgorze na Lutrynce, złowione podczas niespodziewanej burzy październikowej, ławica uklei, wytropiona trafem na Szalonej Toni — decydują o przedterminowym wykonaniu planu. Trudno to przecież nazwać świadomą zasługą przodującego zespołu, przodującego od trzech lat.

Książka Paukszty mówi o rzeczach nowych, mało znanych. Na stronicach tej powieści żyjemy w kręgu mazurskich jezior — nad Wielkimi i Małymi Mamrami, nad Kirsajnem, Świętem i Głęboczkiem. Codzienne życie rybackiego zespołu, osobiste radości i troski rybaków, połowy i przygody, związane z rybaczym trudem, oto treść „Srebrnej Ławicy". Potoczystość stylu Paukszty, żywa akcja, perypetie uczuciowe bohaterów sprawiają, że czytelnik czyta książkę szybko i łatwo. Zastanówmy się jednak, jakie z lektury tej wyciągnie wnioski. Bohaterz

GEORGE BIDWELL

Talenty a reklama

Jakbyś ujął w słowa zalety kufla dobrego piwa? — w ten sposób amerykański koncern 7 browarów Ballantine zwraca się w swoich reklamach do ewentualnych klientów. I oto odpowiedzi na pytanie udziela nie kto inny, jak — Ernest Hemingway! Zaledwie burzliwe bałwany jego powieści o dalekomorskich połowach pt. „Old Man and the Sea" przepłynęły przez mętne wody magazynu „Life", a już Hemingway pojawił się znowu na kartach tego miesięcznika, tym razem nie próbując pływać na falach literatury, lecz nurkując w głąb ciemnej otchłani reklam. W dłuższym opisie, ozdobionym jego fotografią, Hemingway uroczyście i solennie (solenność tę spowodowały browarskie dolary) zapewnia, że „gdy przyholowałeś potężnego wieloryba z największym wysiłkiem i pośpiechem — bo rekiny już go okrążały — wówczas nic nie zastąpi ci kufla dobrego piwa Ballantine!"

Karol Dickens odrzucił ofertę tysiąca funtów szterlingów za sprostytuowanie swego pióra zachwalaniem jakichś środków lekarskich. A. Bernard Shaw wspomina w „Everybody's Political What's What" jak odmówił przyjęcia poważnej sumy pieniężnej, którą by otrzymał w zamian za stwierdzenie, że swój talent i zdolności zawdzięcza szeroko reklamowanym kursom korespondencyjnym. Hemingway o tym widocznie nie słyszał, a jeśli nawet słyszał, to zapewne tylko przymrużył jedno oko i rzekł najpiękniejszym yankesowskim żargonem: „Kpijcie sobie z tego; bierzcie przykład ze mnie, a dobrze na tym wyjdziecie!"

Współczesny pisarz angielski Beverley Nichols, którego po pierwszej wojnie światowej nazywano „nadzieją angielskiej literatury", autor wielu powieści i sztuk teatralnych, posunął się o krok dalej od Hemingwaya reklamując samą reklamę. W swojej powieści pt. „The Star Spangled Banner" nawołuje brytyjskich „businessmanów", aby wzorowali się na metodach reklamowych kupców amerykańskich, opiewanych przez Hemingwaya. Beverley Nichols twierdzi z całą powagą, że w dniach swojej bujnej i hucznej młodości, podczas niezliczonych „nocnych orgii" pocieszało go zawsze głębokie przekonanie, że jeśli będzie używał pewnego specjalnego gatunku mydła, zachowa stale świeżość cery. „Ile bym nie wypił alkoholu, ile bym nie wypalił papierosów, jakbym się nie nurzał w niewysłowionych rozkoszach grzechów — wszystko było zmazane, oczyszczone co rano owym czaradziejskim mydłem". Nichols przyznaje, że bynajmniej nie zalety mydła podbiły go: „kupowałem je dlatego, że przed laty inteligentny i błyskotliwy młody Amerykanin usiadł za swym biurkiem w agencji zgłoszeniowej..." i tak dalej. Wspaniałe, drogi panie Nichols! Oto, co można by nazwać metafizyką reklamy.

Beverley Nichols jest lojalnym (i dobrze opłacanym) imperialistą, a jego zainteresowanie reklamą (oprócz honorariów) wyraża się w przekonaniu, że „dzieci powinno się już u kolan matki uczyć wierzyć, że się udławią, jeżeli będą jadły jakikolwiek inny agrest, oprócz Butelkowanego Australijskiego". W porównaniu z panem Nicholsem, reklamującym imperializm i dyskryminację handlową, wysiłki Hemingwaya wydają się zaledwie drobnym łapownictwem.

Reklama kapitalistyczna zawsze lubowała się w sławnych nazwiskach. Angielski tygodnik humorystyczny „Punch" opowiadał w 1848 roku, jak to car sprzedawał za grubsze sumy swój podpis na zaświadczeniach gwarantujących skuteczność jakiegoś środka dla celów reklamowych, a naśladowali go wiernie członkowie panującej dynastii greckiej i liczni pomniejsi książęta niemieccy. Nie tylko zresztą królowie i książęta. Nazwiska, znane w świecie nauki i literatury, mają również zastosowanie: a jeśli już nie żyją i nie mogą żądać honorariów, tym lepiej. Tak więc angielskie mydła Pearsa przytaczają filozofa z XVI wieku, Franciszka Bacona, celem zwiększenia popytu na swe wyroby: „Ochędóstwo ciała zawsze było szacowane, jako wynikłe z estymy dla Boga, społeczeństwa i nas samych".

Kupcy amerykańscy, o których z takim zachwytem pisze Beverley Nichols, gardzą subtelnościami reklamy historiozoficznej. Herbert McLuhon pisze na łamach angielskiego magazynu „Horizon" w październiku 1947 r.: „Amerykanin jest w szczęśliwszym położeniu od Anglika, którego ogłoszenia są jedynie połowicznymi próbami uzewnętrznienia jego nadziei, obaw i apetytów. Reklama amerykańska jest czysto kartezjuszowska. Angielska — empiryczno-Bacońska". Po czym McLuhon przytacza przykład „szczęśliwszej" amerykańskiej reklamy kartezjuszowskiej.

Przykładem tym jest obrazkowa historyjka o pewnym Tomciu, który powrócił ze szkoły z podbitym okiem. Wypytywany przez czarującą młodą mamusię opowiada, że chłopcy mu dokuczali, bo jego tatuś chodzi z innymi kobietami. Tomcio pobił się w obronie sex-appealu swej matki, lecz wrócił z podbitym okiem. Zmartwiona mamusia wybiega, aby kupić jedyny skuteczny lubczyk, który mógłby jej powrócić miłość męża — i szoruje sobie nim zęby. Najlepsza na świecie pasta do zębów... Następny obrazek przedstawia czarującą młodą mamusię, promieniejącą radością w majteczkach i biustonoszu, jak następnego ranka w łazience szepce Tomkowi na uszko: „Poskutkowało!" Może jednak z dwojga złego już lepszy jest ten „bacoński" styl reklamy od „kartezjuszowskiego"....

Instynktownie reagujemy na tego rodzaju reklamę przypuszczeniem, że przecież na pewno tego nikt nie czyta. Ale jeśli „Life" chełpi się, że 60% tego magazynu wypełnione jest ogłoszeniami, to nawet najodporniejszemu czytelnikowi trudno to zignorować.

Znaczenie reklamy w kapitalistycznym świecie finansowym przedstawił Hamilton Basso w amerykańskim czasopiśmie „Mainstream":

„Ze skojarzenia cyrku z nowoangielskim instynktem handlowym urodziła się nowa sztuka, która stała się najbardziej uwodzicielską służką handlu, wmawiającą ludziom nieistniejące potrzeby". G. K. Chesterton, podziwiając tę właśnie „sztukę reklamy" pod postacią iluminacji i świateł neonowych nad Nowym Jorkiem, ukoronowaną wybuchami sztucznych ogni, układających się w napis: „Idealne kalesony firmy Supreme Pants Company" powiedział z głębi serca: „Wspaniałe! Gdyby tylko nie umieć czytać!"

Ogniе sztuczne reklamujące męską bieliznę, przypominają napisaną przez Villiersa de l'Isle Adama w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku farsę pt. „Niebiańska Reklama", w której Wielka Niedźwiedzica trzyma z zażenowaniem w przednich łapach reklamę gorsetów, a na gwiazdozbiorze Panny ukazuje się anioł, który wychylając flaszkę whisky powiada: „Dieu, que c'est bon!"

Szydził z reklamy również angielski powieściopisarz z końca XIX wieku Jerome K. Jerome w swej powieści pt. „Three Men on the Bummel". Jeden z bohaterów jedzie na rowerze poprzez Nadrenię i pedałując z wysiłkiem narzeka, że jego rower nie jest wcale podobny do tych lotnych maszyn na afiszach reklamowych.

W pierwszym dziesięcioleciu obecnego wieku H. G. Wells dowiódł, że bezczelność reklamy nie zna żadnych granic. Wells był w młodych latach uczniem aptekarskim i zapoznał się dokładnie ze wszystkimi oszustwami tak zwanych lekarstw patentowanych. W powieści pt. „Tono Bungay" opowiada, jak ambitny oszust, wujaszek Ponderovo, naciągał ludność na kupowanie bezwartościowych środków po dwa szylingi za butelkę. Wells zadaje cyniczne pytanie: „Czy można by, na przykład, popiół przerobić na biszkopty i sprzedać? A dlaczegóżby nie? Można ogłosić: Dlaczego ptaki są tak wesołe? Ponieważ świetnie trawią pożywienie. Dlaczego ptaki świetnie trawią? Ponieważ mają drugi żołądek. Dlaczego człowiek nie ma drugiego żołądka? Ponieważ może sobie kupić Przeczyszczające Biszkopty Popiołowe Ponderovy, które są o wiele skuteczniejsze".

Nic dziwnego, że angielska powieściopisarka Dorothy L. Sayers, która sama niegdyś pracowała w agencji ogłoszeniowej, pisze w „Spectatorze" z dnia 19 listopada 1937 r.: „Autor rekiam oddaje swoje bogate słownictwo, pomysłowość i umiejętność posługiwania się składnią i stylistyką celom oszukiwania umysłów ludzkich". Dorothy Sayers dowodzi, że sprawiedliwość wymaga, aby prostoduszni czytelnicy mieli prawo do jakiejś ochrony przed tą dwulicowością słowa.

Niestety, w krajach kapitalistycznych takiej ochrony nie dało się stworzyć. Reklama w Anglii i Ameryce jest oczywiście sama w sobie doskonałym interesem i w wielu wypadkach fabryka, agencja ogłoszeniowa i dziennik są w całości lub częściowo finansowane przez tych samych kapitalistów. Kingsley Martin w swojej książce pt. „The Press the People Want" pisze: „Wielcy ogłoszeniodawcy są przyjaciółmi właścicieli gazet, są osobiście zainteresowani w powodzeniu pisma, mają wspólny światopogląd społeczny i polityczny i wspólne podejście do konsumenta". Razem próbują zastraszyć lub wmówić publiczności konieczność kupowania przedmiotów, których nie potrzebuje (nikogo nie trzeba namawiać, aby kupił to, co mu jest naprawdę potrzebne, byle miał pieniądze), lecz dla których stwarza się sztuczne zapotrzebowanie.

Dickens atakował sąsiadów zza Atlantyku i ich reklamy w „Notatkach Amerykańskich", gdzie przytacza ogłoszenia zamieszczane pod wspólnym, rażącym w swym bezwstydzie nagłówkiem: „Pieniądze za Murzynów". Dział ten był przyozdobiony rysunkiem przedstawiającym schwytanego uciekiniera w kajdanach, przed plantatorem w wysokich butach i z pejczem w ręku. Ogłoszenia brzmiały następująco:

> „Zbiegł chłopiec murzyński lat około dwunastu. Na szyi miał metalową obrożę z wygrawerowanym nazwiskiem właściciela: „de Lampert".
>
> Zbiegła Murzynka z dwojgiem dzieci. Na parę dni przed ucieczką wypaliłem jej rozpalonym żelazem znak na policzku. Miała to być litera „M".
>
> Zbiegł mój Murzyn Fountain. Ma przekłute uszy, bliznę na czole, uda przestrzelone śrutem, a plecy poznaczone świeżymi uderzeniami bata".

Tak wyglądają próbki ogłoszeń w Ameryce z połowy XIX wieku. A dziś bynajmniej nie jest lepiej. Tygodnik „Newsweek" z dnia 3 listopada 1952 r. przynosi ogłoszenie wielkiego koncernu chemicznego, spadkobiercy osławionej niemieckiej I. G. Farben-Industrie. Ogłoszenie rozpoczyna się od przytoczenia wyjątków z przemówienia francuskiego ministra spraw wewnętrznych, Karola Brune, stwierdzającego, że policji zalecono lać z hydrantów na uczestników wszelkich demonstracji skoncentrowany niebieski atrament, który jest praktycznie biorąc, nie do zmycia. Chodzi oczywiście o to, aby naznaczyć niestartym piętnem postępowców i bojowników o pokój i o lepsze warunki życia robotników. Ta myśl tak się spodobała koncernowi chemicznemu, że zobowiązał się dać w prezencie 25 funtów tego barwnika każdemu rządowi państwa paktu atlantyckiego, który zechce pójść w ślady policji francuskiej.

Można by to nazwać szczytem kultury handlowej. Ale w Wielkiej Brytanii nawet producenci broni reklamują zalety i cnoty swych narzędzi zniszczenia. Np. koncern wytwórni samolotów Hawker Siddeley stale zamieszcza w takich dziennikach jak „Times" i „Ekonomist" ogromne ogłoszenia następującej treści:

> „NIE MARTW SIĘ BABCIU! Babcia ma 87 lat. Jest czerstwą wieśniaczką angielską, której twarz życie poznaczyło bruzdami. Ma charakter nieugięty i niepodległy. Zawsze taka była. Babcia się martwi, ponieważ słyszy o przyszłej wojnie. Widzi przelatujące przez niebo przedmioty dziwnego kształtu, za którymi biegnie spóźniony szum o wysokiej nucie. Jej prawnuki gromadzą modele tych samolotów nowego typu... Budujemy obecnie naszą potęgę. A potęga naszego lotnictwa rodzi się w fabrykach Hawkera Siddeleya. Nie martw się Babciu, wszystko będzie dobrze!"

Najbogatsi, cieszący się największym powodzeniem (włącznie z Hemingwayem) otoczeni w społeczeństwie kapitalistycznym największym szacunkiem, zalewają łamy czasopism reklamami głoszącymi kłamstwa, półfałsze i wypaczenia. Dr Samuel Johnson napisał przed dwustu laty: „Duszą ogłoszenia jest obietnica" i przytoczył jako przykład reklamę pewnego pledu, który miał być „cieplejszy od czterech pledów, a lżejszy od jednego". Ciekawe, co dr Johnson powiedziałby o takim np. ogłoszeniu, które pojawiło się masowo w pismach angielskich w 1943 r.: „Co może przynieść człowiekowi w tych strasznych czasach ukojenie jego trwóg, odświeżenie wiary i nadziei?" Odpowiedź zawierała się w jednym słowie: „PIWO".

Trudno istotnie zrozumieć, w jaki sposób ludzie pokroju Ernesta Hemingwaya będą próbowali bronić poparcia, którego udzielają reklamie kapitalistycznej, tak jawnie amoralnej i tak wyraźnie oszukańczej. Jedno jest pewne: Przyjmując pieniądze od koncernu Ballantine, Hemingway sprzedał swój talent na rzecz wielkiego oszustwa kapitalistycznego, którego celem nie jest w żadnym wypadku korzyść społeczeństwa, lecz odwrotnie: wprowadzenie zamieszania i utrudnienie wyboru pomiędzy złym, a dobrym towarem. Reklama głosi: „To jest dobre, ponieważ ja (i pan Ernest Hemingway z moimi dolarami w kieszeni) twierdzimy, że to jest dobre". Jest to dalszy etap rozwojowy dawnej metody, świetnie opisywanej przed stu laty przez Tomasza Carlyle w „Przeszłości i teraźniejszości":

> „Kapelusznik z ulicy Strand w Londynie, zamiast wyrabiać lepsze niż ktokolwiek inny kapelusze, sporządza ogromny gipsowy model kapelusza, na siedem stóp wysoki, na kółkach, i wysyła człowieka, który go obwozi po ulicach. Nie próbuje nawet wyrabiać lepszych kapeluszy, co jest jego zadaniem i profesją i co, przy jego pomysłowości mógłby zapewne doskonale robić, lecz cały wysiłek poświęca na wmówienie nam, że istotnie wyrabia lepsze kapelusze! On również wie już, że szarlatan stał się bogiem".

George Bidwell

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Pochwała drugiego rzutu

Był okres, kiedy dyskutowało się w naszych kołach filmowych czy, wobec kłopotów ze scenariuszem, nie złuzować nieco kryteriów oceny filmów, nie zmniejszyć wymagań wobec napływających scenariuszy — słowem, czy nie zrezygnować nieco z jakości na rzecz ilości filmów. Cała ta dosyć dziwna dyskusja miała pewne uzasadnienie w okresie, kiedy nasz film, cierpiący na anemię wskutek braku scenariuszowej pożywki, podejmował jednocześnie realizację „monumentalnych arcydzieł", dzieł „przełomowych dla naszej kinematografii" i mających być koroną działalności poszczególnych twórców. Problemy jednak tego typu na pewno nie są problemami zdrowej, normalnie funcjonującej kinematografii, mogą one wypływać jedynie przy stanach patologicznych, nigdy zaś nie powinny doczekać się kanonizacji w formie trwałych i na zawsze obowiązujących zasad.

Normalnie funkcjonująca kinematografia, o prawidłowo zorganizowanej bazie scenariuszowej, technicznej i odbiorczej, sprawy te reguluje w pewnym sensie żywiołowo, tzn. gotowe swoje dzieła w zetknięciu z widownią sama, na zasadzie eliminacji, porządkuje w pewne grupy, w rzuty. Mówimy o pierwszym, najbardziej ambitnym i nowatorskim rzucie, mówimy również o liczebnie potężnej ilości dzieł o mniejszym zasięgu, dzieł drugiego rzutu. Pierwszy rzut, jako najbardziej ambitny, koncentruje na sobie przeważną część uwagi zarówno krytyki jak i widzów. Rzut drugi, choć mniej omawiany, ma jednak znaczenie dla ogólnego poziomu kultury artystycznej niesłychanie istotne. On to skupia w sobie to wszystko, co dzięki odkrywczości dzieł pierwszorzędnych weszło na stałe do arsenału środków artystycznych, co się utrwaliło, co wrosło w glebę. Jego siła jest miarą istotnej siły danej sztuki, jego głębokość — miarą głębokości danej kultury. I tak jak miastu nadają charakter nie reprezentacyjne budowle lub podmiejskie domki, ale właśnie domy i ulice znajdujące się pomiędzy tymi dwoma krańcami, tak drugi rzut nadaje ogólny charakter kulturze narodowej.

Drugiego rzutu kultury nie można oczywiście ani planować, ani z góry się nań nastawiać — to nonsens. Wyznacza go miara talentu, ambicji i odkrywczości poszczególnych twórców. Ale nie wolno go lekceważyć.

Obejrzałem niedawno film radziecki reż. Brauna pt. „Maksymek", wyprodukowany w roku ubiegłym, tzn. w okresie dosyć poważnego kryzysu twórczego kinematografii radzieckiej. Jest to typowy film drugiego rzutu — bez szerokich ambicji, bez wielkiej odkrywczości, z fragmentami interesującymi, jak również wyraźnie słabymi. I właśnie ze względu na to film ten wydaje mi się interesujący dla sytuacji w kinematografii radzieckiej. Jak wiadomo, film radziecki ostatniego okresu przeżywał okres zaburzeń. Błędne sformułowania w dziedzinie dramaturgii i przesadny kurs na „monumentalizm" doprowadził do kilku nieprzyjemnych zgrzytów w produkcji lat ostatnich. Ale kłopoty te, niewątpliwie istotne, są w znacznej mierze kłopotami czołówki filmowców. W przeciętnym warsztacie twórczym, takim, jak warsztat Brauna, niewiele widzimy śladów tych niepowodzeń. Jest w jego filmie prosta, ciepła nutka zainteresowania dla człowieka, jest chęć pewnego humanistycznego ocieplenia, jest liczenie się z zainteresowaniami widza. Słowem, jest osad tego, o co film radziecki walczył w najlepszych swoich okresach i co na dobre zdobył. Film „Maksymek" nie jest doskonały, ale to, co ma najlepszego, jest, choć wyrażonym w formie dalekiej od perfekcji (stąd drugi rzut), oddźwiękiem zwycięskiej, humanistycznej linii filmu radzieckiego.

Czy Braun chciał zrobić film, który by wprowadził jego imię do historii? — Na pewno nie. Ale chciał zrobić film ciekawy i, w pewnym, ograniczonym zasięgu, pożyteczny. Nie porywał się na temat szczególnie trudny i ambitny, wziął temat ciekawy, łatwy, komunikatywny. Nie ma bowiem nic gorszego, jak podejmowanie trudnych, psychologicznie czy ideowo problemów, gdy nie ma się nic naprawdę ciekawego do powiedzenia. Widz wybaczy ciężką miejscami atmosferę I serii „Iwana Groźnego" bo otrzymuje w zamian za to głęboką, wielostronną myśl filozoficzną i artystyczną. Nie przyjmie natomiast nigdy koturnowej pozy z kryjącą się za nią pustką intelektualną. I na tym przecież przede wszystkim polega dramat wielu filmów zachodnich w stylu (wiem, że wygłaszam tu zdanie w pewnych kołach niepopularne) „Symfonii pastoralnej" czy „Ceny strachu", że mobilizując niesłychany arsenał środków, w efekcie myślowym okazują się mniejszym lub większym niewypałem.

Czy wygłaszam tu pochwałę braku ambicji. Nie! Chwalę uczciwe rzemiosło filmowe, uczciwą pracę filmów drugiego rzutu, które tak samo, a niekiedy nawet pewniej niż zamierzone z góry arcydzieła, prowadzą do człowieka i do niego trafiają.

Krzysztof T. Toeplitz

IRENA TOMSKA

Dzielnica pewnych pań

(Fragment powieści satyrycznej)

Kiedy przez główną ulicę Osiedla przepłynie poranna fala śpieszących do pracy mieszkańców, kiedy wężyki czekających na przystankach ludzi, wsiąkną w rozdygotane niecierpliwie czerwone pudła autobusów — wówczas dzielnica zmienia się. Niby tak samo jak przed godziną kwitną bratki na równo wyciągniętych wzdłuż krawędzi chodników rabatach, a przecież nie są to już te same bratki. Z miłych, różnobarwnych plamek kwietnych, przekształcają się w kolorowe karykaturki, złośliwie małpujące twarze starszych pań, które spacerują wraz ze swymi astmatycznymi mopsami, krętymi, zbiegającymi ku rzece uliczkami Osiedla. Starsze panie, mopsy i bratki są wyraźnie niezadowolone. Starsze panie, mopsy i bratki dają niedwuznacznie do poznania, że nie dogadza im sposób urządzenia świata, na którym muszą żyć. Że protestują. Mają za złe. Są przeciw.

Młoda sprzedawczyni gazet, tkwiąca od wczesnego ranka w swym oszklonym domku na rogu, nie potrzebuje zegarka, aby stwierdzić, że jest po dziesiątej. Prawie nikt już nie kupuje „Trybuny Ludu", której domagano się z rana żaden mutujący głos nie prosi o „Sztandar Młodych". Teraz co najwyżej ktoś zażąda „Życia", pójdzie parę egzemplarzy „Przyjaciółki", a poza tym, jak monotonny refren, powtarza się w równomiernych odstępach:

— „Kobieta i życie".

— „Kobietę i życie" proszę.

Zresztą kupujących jest niewielu i sprzedawczyni może spokojnie zjeść przyniesione z domu śniadanie.

Nie ustaje za to ruch w sklepiku „dwóch sióstr" przy ulicy Italskiej. Sklepik jest ciemną suterynką. Trzeba do niej zejść po obłupanych, kamiennych stopniach, na których łatwo skręcić nogę. Wewnątrz zapach kiszonej kapusty walczy o lepsze z rozlanym na blaszanej tacce piwem i zagłusza dyskretną woń zabitego przed trzema dniami koguta. U „dwóch sióstr" nie jest czysto, ich towary nie zachęcają do kupna, a jednak starsze panie z Osiedla czują się tu dobrze, znacznie lepiej, niż w odnowionych, jasnych sklepach spółdzielczych przy głównej ulicy. Tu można nie krępować się. Tu wszyscy wszystkich znają i wiedzą, że ciężkie westchnienie, bolesne wzniesienie oczu w górę, lub beznadziejne machnięcie ręką, ma swoją własną, zrozumiałą dla każdego wymowę. Tu nikt nie zada naiwnego pytania: „Co pani dolega?", bo wiadomo, że chodzi nie o drobne, osobiste kłopoty, ale o sprawy wielkie i ważne. Tu każdy nietakt, każde wykroczenie przeciw solidarności, piętnowane jest ciężkim, wzgardliwym milczeniem, spadającym jak kamień na głowę winowajcy. Czyż na przykład nie zasłużyła na potępienie żona dyrektora spod ósmego która przyszła kupić chleb do obiadu i na pełną goryczy uwagę pani Róży, starszej z dwóch sióstr, że chleb już nie taki jak dawniej, odkąd zmuszonym się jest sprowadzać go z uspołecznionej piekarni — odpowiedziała:

— Nie taki? Mnie się wydaje, że teraz jest lepszy. Dobrze wypieczony, większa rozmaitość gatunków.

Doprawdy dyrektorowa musiała być z drzewa, skoro nie dostała gęsiej skórki pod lodowatą falą wzgardy, jaka przepłynęła przez sklepik, sznurując usta wszystkich obecnych w nim pań.

Okazało się jednak, że nie jest z drzewa, natomiast jej mąż jest z awansu społecznego. Tak przynajmniej poinformowała swoje klientki pani Róża.

O ile u „dwóch sióstr" nie zużywa się zbyt wielu słów, to w wypożyczalni książek, „Mariola" słowa, słówka, zdania

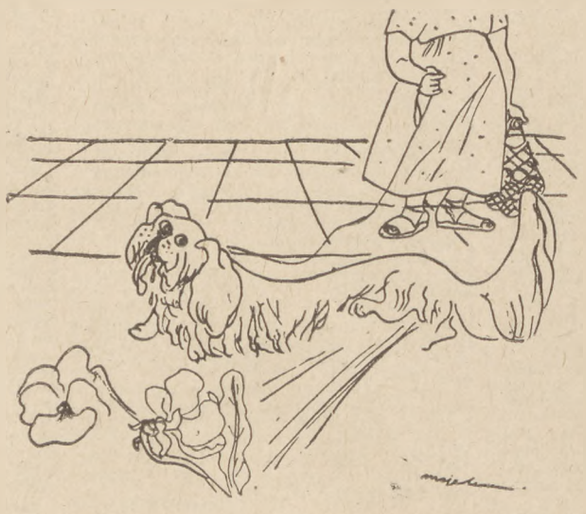

Rys. Maja Berezowska

i wykrzykniki przeskakują jak piłka w siatkówce z jednej strony drewnianej bariery na drugą.

Bariera dzieli wąski i długi pokój na dwie części. W mniejszej czekają na swoją kolej abonenci — a raczej abonentki w tej przedpołudniowej godzinie — w większej, wypełnionej pod sufit półkami, krząta się zwinna i ruchliwa, mimo swych sześćdziesięciu lat, właścicielka czytelni. Pani Mariola, jak każda doświadczona bibliotekarka, ma fenomenalną pamięć. Przeważnie nie trzeba jej podawać numeru książki, bo i tak wie, że Ammers-Küller stoi pod oknem na trzeciej półce od góry, zaś Vicki Baum przy drzwiach prowadzących do jej prywatnego mieszkania. Nie potrzebuje też numerów swych abonentek. Zna je wszystkie od wielu lat, wie o ich stosunkach domowych, pamięta o ich literackich upodobaniach.

Upodobania większości abonentek są zresztą przedziwnie podobne do gustów samej pani Marioli. Najlepiej określa je żarcik jednej z czytelniczek, której bibliotekarka zaproponowała kiedyś — z pełną zresztą ostrożności rezerwą — „Stare i nowe" Rudnickiego.

— Ach nie, dziękuje bardzo. Wzięłabym chętnie tylko „Stare". Na „Nowe" jednak nie reflektuję!

Pani Mariola lubi cytować to powiedzenie i za każdym razem śmieje się z niego równie serdecznie jak ci, którym je powtarza. Pani Mariola w ogóle lubi się pośmiać. Dlatego właśnie żarty i okrzyki przelatują nad drewnianą barierą jak piłka w siatkówce.

Poczucie humoru traci pani Mariola tylko wtedy, gdy przypadkiem ktoś w jej obecności pochwali jakiegoś postępowego pisarza, lub z uznaniem odezwie się o słuszności obecnej polityki wydawniczej. Wtedy pogodna i miła bibliotekarka zamienia się w rozpłomienioną gniewnym uniesieniem Walkirię:

— Polityka wydawnicza! Właśnie polityka! A gdzie miejsce dla sztuki? Gdzie Piękno?! Ja go jakoś nie widzę w tych nowych utworach!

Przy pani Marioli nie można zrobić nawet tak niewinnej uwagi, jak na przykład:

— Czy nie sądzi pani, że teraz przejawia się większą troskę o poziom tłumaczeń? Przecież niektórych przedwojennych powieści nie można było czytać, tak niechlujnie były przełożone na polski.

— A teraz?! A teraz?! — pani Mariola robi się purpurowa, co przy jej siwych włosach nasuwa mimowolne skojarzenie z narodowym sztandarem. — Teraz zdarzają się takie kwiatki stylistyczne, że niewiadomo, czy śmiać się, czy płakać! Zaraz pani pokażę!

Biegnie do półki i równie szybko wraca przed barierkę z książką, która sama otwiera się na stronie, wielokrotnie widocznie czytanej.

— O, proszę! O, proszę! — szczupły, zreumatyzowany palec wystukuje gniewny werbel przy jakimś, rzeczywiście niezbyt fortunnie przetłumaczonym zdaniu.

— Maryniu, nie podniecaj się tak... Przecież wiesz, że ci to szkodzi na serce... — z drzwi, prowadzących do prywatnej części mieszkania, wychyla się ogolona do skóry głowa kościanego dziadka. Emerytowany sędzia, brat bibliotekarki, patrzy karcąco na abonentkę, która wciągnęła panią Mariolę w tak niebezpieczną dla jej zdrowia dyskusję.

Tego rodzaju niemiłe incydenty zdarzają się jednak rzadko w tych przedpołudniowych godzinach, kiedy czytelnię odwiedzają abonentki, o upodobaniach literackich, zbliżonych do upodobań właścicielki. A po południu, gdy napływa nowa fala publiczności, wśród której przeważa pracująca inteligencja i młodzież — po południu panią Mariolę wyręcza jej pomocnica, panna Basia, która wprawdzie nie ma tak fenomenalnej pamięci do numerów, ale ma za to zdrowe serce i bardziej odporny system nerwowy.

Popołudnie na Osiedlu to jednak zupełnie nowa era, o nadejściu której niechętnie myśli pani Mariola i jej wieloletnie abonentki. Tak samo niechętnie, jak klientki „dwóch sióstr" ze sklepiku przy ulicy Italskiej i jak spacerujące wśród ukwieconych grządek paniusie ze skłonnymi do otyłości mopsami.

Jedynie sprzedawczyni gazet z budki na rogu czeka z pewną niecierpliwością na ruch w interesie, który zaznaczy się zaraz po godzinie trzeciej wzmożonym popytem na „Express".

Irena Tomska

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32 I p. Telefony: 8 86-11 — Sekretariat, — Red. naczelny 8 79-38 Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 00 81 Wydaje RSW „Prasa" Kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60 kwartalnie zł 13 80 półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20 Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1-111-5589, tel. 8 23-09 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5. 4-B-20[illegible]